

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 20 października 1906 r. Nr. 42.

Zagadkowa tragedya.

(Treść na stronie 2).



Zagadkowa tragedya.

(Do illustracyi tytułowej).

Przed kilku dniami w Kijowie rozegrała się tragedya, wstrząsająca a tajemnicza, której zagadkę bez rozwiązania zabrał ze sobą do grobu główny jej bohater. Wychowaniec szkoły handlowej Aleksander Szutow bywał często w domu Szeletajewych, gdzie przesiadywał całe wieczory z dwiema ich córkami, z których starszą Aleksandrę, świeżo ukończoną gimnazyalistkę, kochał z wzajemnością. W krytyczny wieczór odszedł o 11-tej, lecz gdy młodsza siostra położyła się spać, powrócił i do późna w noc prowadził rozmowę z Aleksandrą. Nie wiadomo, co między nimi zaszło, dość, że w końcu Szutow zastrzelił swą ukochaną. Zostawiwszy martwą na podłodze, wyszedł najspokojniej i wrócił do swego domu. Rodzina Szutowych składała się z 60 letniej matki i 8 dorosłych dzieci. W rodzinie panowały ogromnie sympatyczne stosunki i niczem niezamącona harmonia. Młodzieńcowi otworzyła drzwi starsza jego siostra, która przywitała go lekką wymówką



Fot. T. Bbrynowicz, Lwów.

Politechnik majstrem krawieckim: Znany obywatel lwowski, Stanisław Platowski, którego renomowaną pracownię krawiecką objął syn — politechnik.

za późny powrót i sprawiony niepokój — było to o godzinie 2 w nocy. Chłopiec, nic nie mówiąc, wszedł po cichu do pokoju matki, która sypiała z najmłodszą córką — uczenicą gimnazyum Stosownie do swego zwyczaju, Szutow podszedł do śpiącej matki i pocałował ją: następnie zaś po ciemku przyłożył rewolwer do głowy staruszki i wystrzelił. Trzecią kulę wpakował sobie w prawą skroń, poczem, jak snop, runął na ziemię. W domu powstał popłoch nie do opisania. Wezwano pogotowie, które wszakże skonstatowało tylko śmierć matki i syna. Pomoc lekarska okazała się potrzebną dla oszalałych z rozpaczy sióstr i braci zabitego.

Zgon zasłużonego obywatela.

Z szeregu lwowskiego mieszczaństwa ubył w zeszłym tygodniu jeden z najgodniejszych tego mieszczaństwa przedstawicieli, śp. Alfred Dzikowski, znany i ceniony we Lwowie kupiec i obywatel, wieloletni członek tamtejszej Rady miejskiej.



Zgon zasłużonego obywatela: Były król kurkowy na strzelnicy lwowskiej i długoletni radny stolicy, ś. p. Alfred Dzikowski, znany kupiec-rzemieślnik i obywatel m. Lwowa.

Urodzony w 1850 roku w Kałuszu, osiadł przed trzydziestu przeszło laty we Lwowie, gdzie założył magazyn broni i warsztat rusznikarski. Sumiennością swą, wielką pracowitością, niezawodną punktualnością zyskał w ciągu krótkiego stosunkowo czasu rozgłośne imię dla swego przedsiębiorstwa, które też wnet zajęło pierwszorzędne miejsce nie tylko w mieście Lwowie, ale i w kraju Jako poważany ogólnie kupiec wszedł około 1890 roku w skład lwowskiej Rady miejskiej i aż do ostatnich dni należał do jej najczynniejszych, najpracowitszych członków. Był również członkiem lwowskiej Izby handlowej i przemysłowej, dyrektorem zakładu zastawniczego, należał do wielu towarzystw i instytucyj humanitarnych.

Na każdem stanowisku pracował z oddaniem się i poświęceniem dla sprawy, zyskał też powszechny szacunek, a w uznaniu za swe zasługi otrzymał tytuł cesarskiego radcy.



Samobójstwo bankruta: Ś. p. Artur Starorypiński, popularny w Warszawie właściciel kilku zakładów cukierniczych, który zastrzelił się skutkiem rozstroju nerwowego wywołanego bankructwem.

W życiu towarzyskiem Lwowa brał również żywy udział i należał do zasłużonych członków Tow. Strzeleckiego, w którem przez dwa lata z rzędu piastował godność króla kurkowego a do ostatnich lat zasiadał w wydziale.

Przedwczesny zgon tego dzielnego obywatela wywołał szczere i powszechne współczucie, którego wyrazem był niezwykle liczny udział publiczności ze wszystkich sfer Lwowa w pogrzebie. Śp. Dzikowski osierocił żonę, panią Helenę z Liverów i jedynego syna, Zdzisława, doktora praw i medycyny.

Politechnik majstrem krawieckim.

Rzadki to wypadek w dzisiejszych czasach, by człowiek z ukończonemi studyami akademickiemi brał się do rękodzieła. To też z uznaniem należy powitać każdy tego rodzaju fakt, jako dla przyszłości krajowego przemysłu ze wszech miar pożądany. Zaszedł zaś taki wypadek świeżo we Lwowie. Oto znany tam krawiec i radny miejski pan Stanisław Platowski, przelał swą dobrze renomo-



Fot. dla „Now. Illustrowanych“ M. Münz, Lwów.

Politechnik majstrem krawieckim: Ukończony słuchacz politechniki lwowskiej, Zygmunt Platowski, który został majstrem krawieckim.

waną pracownię i magazyn krawiecki na swego syna, Zygmunta, ukończonego słuchacza lwowskiej politechniki.

P. Zygmunt Platowski, człowiek jeszcze młody, bo dwudziestopięcioletni, zapisał się po ukończeniu szkół średnich na wydział budowy maszyn politechniki lwowskiej. Równocześnie wstąpił jako praktykant i zwyczajny robotnik do pracowni krawieckiej swego ojca i po kilkuletniej praktyce wyzwolił się na czeladnika. Nie zaniedbywał jednak bynajmniej studyów technicznych, które chlubnie ukończył i w ciągu najbliższych miesięcy uzyska tytuł inżyniera. Celem zaś gruntowniejszego wykształcenia się w zawodzie krawieckim, spędził prawie rok cały za granicą, w pierwszorzędnych warsztatach w Wiedniu i Monachium, gdzie nadto jako stypendysta Wydziału krajowego odbył kurs teoretyczny w „Deutsche Bekleidungs Akademie“. Po powrocie stamtąd wygotował dla Wydziału krajowego sprawozdanie o sposobie urządzenia fachowej szkoły krawieckiej, jaka w Galicyi ma powstać kosztem kraju. Obecnie zaś objął magazyn i pracownię krawiecką po swym ojcu p. Stanisławie Platowskim, który po 30 przeszło latach pracy zawodowej usuwa się od niej.

W p. Zygmuncie Platowskim zyskuje miasto młodego, dzielnego i energicznego obywatela a rękodzielnictwo pożytecznego członka, który mu z pewnością chluby przysporzy. Młodemu przemysłowcowi życzymy szczerze i serdecznie powodzenia, które niewątpliwie osiągnie, gdy wstąpi w ślady swego ojca, tak powszechnie szanowanego i cenionego obywatela i wieloletniego radnego miejskiego.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portrety pp. St. Platowskiego i jego syna p. Zygmunta.

Samobójstwo bankruta.

W następstwie tego, co się dzieje od szeregu miesięcy w Warszawie, bankrutują z łatwo zrozumiałych przyczyn wielkie zakłady restauracyjne i cukiernicze. Tak upadł Dyck, upadł Jackowski, wreszcie Starorypiński, którego Warszawianie dobrze znali od dawna jako właściciela kilku dużych cukierni, bardzo popularnych. Może być, że Artur Starorypiński zastrzelił się z powodu rozstroju nerwowego. lecz rozstrój ten powstał na tle wysoce zagmatwanych interesów materyalnych, w jakie popadli cukiernicy tamtejsi w ostatnim czasie. Pozostawił on przeszło 100 tysięcy rubli długów. Samobójstwo jego dało powód do rozmaitych pogłosek na bruku warszawskim; opowiadają o niesnaskach małżeńskich, nawet o historyach skandalicznych, których nad świeżym grobem nieszczęśliwego człowieka, a uczciwego obywatela nie będziemy powtarzali. Natomiast dając portret nieboszczyka, musimy stwierdzić, że był idealnym szefem dla swych licznych współpracowników, a dobrym i kochanym przyjacielem, który za kolegów nieraz pokutował, gdy mu wypadło, jak n. p. za pewnego przyjaciela, płacić 28 tysięcy rubli skutkiem poręczenia.

Pod sztandarem św. Floryana.

Dwadzieścia pięć lat pracy niewdzięcznej, bo narażającej zdrowie a nieraz i życie w walce z żywiołem, niszczącym dobytek ludzki, to spory okres czasu, a wiadomo, że praca strażaka ochotniczego ani popłatną nie jest ani też nie daje spokoju, gdyż każdej chwili dnia i nocy każe być gotowym do służby. Ta myśl przewodnia przyświecała, zda się, przy ustanawianiu medalu jubileuszowego, który dostaje się za 25 letnią służbę pod sztandarem św. Floryana. W Brodach otrzymał jako pierwszy zaszczytną tę odznakę strażak ogniowy p. Karol Rylka.

Wręczenie medalu poprzedził jesienny popis straży ochotniczej brodzkiej, która pod komendą p. Adama Grzybowskiego z wielką sprawnością i zwinnością wykonywała wszelkie jego rozkazy. Mustrze przypatrywało się grono zaproszonych na uroczystość wręczenia medalu gości, między którymi zauważono hr. Russockiego, od 26 lat kierującego granicznem starostwem, burmistrza dra Stanisława Rittla, prezesa Wasilewskiego, komendantów dywizyi kawaleryi bar. Abele i majora Bauera, adjutanta p. Fischera itd.

Po ćwiczeniach otoczyli zebrani jubilata, a burmistrz miasta dr Rittel odczytawszy reskrypt p. namiestnika i starostwa, po pięknej przemowie, w której zachęcał obecnych strażaków do naśladowania odznaczonego w służbie strażackiej, przypiął mu medal i wręczył upominek od magistratu. Rozrzewniony podziękował Rylka obecnym za udział w uroczystości i za odznakę, poczem dokonał p. Buxdorf zdjęcia fotograficznego dla „Now. Illustrowanych“.



Fot. dla „Now. Illustr“ Buxdorf w Brodach.

Pod sztandarem św. Floryana: Wręczenie medalu jubileuszowego za 25 lat służby ochotniczemu strażakowi ogniowemu Karolowi Rylce w Brodach: grupa straży brodzkiej z jubilatem i uczestnikami uroczystości, pośrodku burmistrz dr. Rittel i starosta hr. Russocki.



Z ulic Warszawy: Na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskiej w Warszawie, patrol zatrzymuje grupę przechodniów, żądając wylegitymowania się paszportami.

CONAN DOYLE.

PÓŹNA ZEMSTA

z angielskiego przełożył W. L.

ZE WSPOMNIEŃ WATSONA

4 Ciąg dalszy.

— Wszystko panu opowiem! Pozostanie to naturalnie między nami, doktorze Watsonie! Pierwszą trudnością na jaką natknąłem, była zupełna nieznajomość poprzedniego życia Drebbera w Ameryce. Niejeden czekałby na odpowiedź na telegraficzne zapytanie lub chwili w której mógłby kogoś zapytać o to. Tak nie działa jednak Tobiasz Gregson! Pamięta pan kapelusz, który znaleźliśmy przy trupie?

— Tak! kupiony był w magazynie Jana Umderwooda, Camberwer-Street 129 — Gregson spojrzał z zdziwieniem na Sherlocka.

— Czy wiedział pan to na pewne? Był pan tam?

— Nie!

— To mnie dziwi! Moją zasadą nie puszczać z rąk żadnej sposobności, nie wybróbowawszy jej przedtem, nawet wtedy, choćby nam wydawała się bardzo błahą.

— Dla geniuszów nawet drobnostki mają znaczenie — odparł Holmess z namaszczeniem.

— Poszedłem zatem do Underwooda — opowiadał Gregson w dalszym ciągu — i spytałem go grzecznie, czy nie sprzedał niedawno takiego, a takiego cylindra. Rozglądał się długo po rozmaitych książkach i z trudem znalazł, że cylinder przesłano panu Drebberowi na ręce pani Charpentier właścicielki pensyonatu w Torquau Terace. Tak dowiedziałem się o jego dawnem mieszkaniu.

— Postąpiłeś pan bardzo sprytnie — odpowiedział Sherlok Holmess.

— Wyszukałem sobie następnie panią Charpentier i zaskoczyłem ją niespodziewanie. Spotkałem tam również jej córkę, niezwykle piękną dziewczynę; miały oczy zaczerwienione od płaczu, a gdy zwróciłem się do niej, zauważyłem jak drżały jej usta. Zaraz poznałem, że to sprawa niezupełnie czysta. Znasz pan panie Holmessie to nadzwyczaj błogie uczucie, przechodzące po całem ciele, gdy się nagle wpadnie na właściwy trop.

— Czy dowiedziałeś się pan cokolwiek o tajemniczej śmierci Drebbera, który mieszkał ostatnio u pani Charpentier?

— Matka kiwała tylko głową, nie mogła słowa wymówić, córka znów zalała się łzami. Bez wątpienia wiedzą one coś o tym tajemniczym wypadku.

— Kiedy wyjechał Drebber z pensyonatu pani na kolej? — zapytałem dalej nieprzygotowanej mem niespodzianem przybyciem właścicielki pensyonatu.

— O ósmej — odpowiedziała z trudem. — Pan Stangerson, jego prywatny sekretarz mówił, że mają dwa pociągi; jeden odchodzi o 9·15, drugi o 11 dopiero. Mieli zamiar pierwszym pociągiem odjechać.

— Czy nie widziała go pani później?

— Po tem pytaniu zbladła pani Charpentier jak płótno i potrzeba było dopiero kilkunastu sekund, zanim wyjąkała jedno jedyne słowo: nie! Głos jej brzmiał jednak nadzwyczaj cicho i nienaturalnie.

— Matko — zawołała córka po chwili — wyznajmy temu panu szczerą prawdę. Kłamstwo na nic się nie przyda. Tak! widziałyśmy pana Drebbera raz jeszcze!

— Boże! Zlituj się nad tobą — zakrzykła pani Charpentier, padając jak martwa na fotel — wydałaś brata twego w ręce kata.

— Artur sam by prawdę wyznał! — odparła córka dobitnie.

— Niech pani mówi otwarcie — rzekłem zwracając się do matki — zaufanie niezupełne, jest gorszem od skrytości. Policya wie z pewnością znacznie więcej, niż pani przypuszcza.

— Syn mój zupełnie niewinny — zaklinała się biedaczka. — Jeżeli boję się o niego, to tylko dlatego, że może być w oczach waszych lub innych może ludzi, nie znających tej sprawy dokładnie, najzwyklejszym zbrodniarzem. A to przecież rzecz niesłychana! Jego dobre imię, stanowisko, jakie zajmuje, poprzednie prowadzenie się, są najlepszą rękojmią, że nie brał zupełnie udziału w ohydnej zbrodni. Syn mój nie jest zbrodniarzem!

— Proszę otwarcie powiedzieć wszystko co pani wie w tej sprawie! Jeśli syn pani niewinny, włos mu z głowy nie spadnie!

— Maryo zostaw nas samych — rozkazała córce pani Charpentier, a skoro córka spełniła jej polecenie, rozpoczęła swą straszną opowieść, wybuchając co chwila gorzkim, niewstrzymanym płaczem.

— Pan Drebber zamieszkał u nas po powrocie z Ameryki. Poprzednio podróżował dużo z panem Stangersonem, swym sekretarzem przybocznym, człowiekiem bardzo uprzejmym i grzecznym. Pan Drebber jednak zachowywał się w wysokim stopniu ordynarnie i nietaktownie. Był to najzwyklejszy sobie gbur. Zaraz pierwszego dnia pobytu w moim pensyonacie spił się niemożliwie, a po 12 codziennie rzadko go można było trzeźwym zobaczyć. W obcowaniu z pokojówkami był niezwykle poufały i ordynarny, co więcej sądził on, że może postępować z mą córką w podobny sposób. Czynił jej nawet kilkakrotnie najrozmaitsze propozycye, których ona na szczęście jako zupełne dziecko zrozumieć nie mogła. Raz był on do tego stopnia bezczelny, że odważył się w mej obecności objąć w pół moją Maryę, aż wreszcie jego sekretarz, zacny pan Stangerson wdał się w tę sprawę i robił mu lekkie wyrzuty.

— Dlaczegóż pozwoliła pani na to? Mogła go się pani pozbyć przecież każdej chwili?

— To prawda! — powiada pani Charpentier, czerwieniąc się po uszy i wybuchając ponownym płaczem — byłabym tak postąpiła zaraz pierwszego dnia. Ale pokusa była za silna! Razem płacili mi 14 funtów tygodniowo i uważałam za swój obowiązek nie pozbywać się tak dobrze opłacających się lokatorów, zwłaszcza w tak kiepskich czasach. Jestem wdową, a syn mój przy marynarce bardzo wiele mnie kosztował. Po ostatniem zajściu nie zwlekałam jednak dłużej i wypowiedziałam mu stanowczo. To było powodem jego odjazdu.

— No i cóż się dalej stało?

— Kamień spadł mi z serca, gdy widziałam, jak odjeżdżał. Syn mój teraz na urlopie, strzegłam się też bardzo, zdradzić się z postępowaniem niegodziwego Drebbera, gdyż Artur łatwo się unosi gniewem, bo kocha swą siostrę ogromnie. Cieszyłam się niestety bardzo krótko. Nie upłynęła może godzina, gdy ktoś szarpnął silnie za dzwonek i wkrótce oznajmiono mi, że Drebber powrócił, spóźniwszy się na pociąg. W stanie najwyższym opilstwa zdobył sobie gwałtem wstęp do pokoju, w którym siedziałam z mą córką, bezczelnie podszedł do niej i zaproponował jej ucieczkę z domu rodzicielskiego. — „Pani już pełnoletnia— zawołał — policya nie ma prawa do pani. Pieniędzy mam pod dostatkiem. Nie troszcz się Maryo o starą wiedźmę, twą matkę niby, tylko posłuchaj mej rady; będzież wiodła życie jak księżna“. Biedna Marya pobladła ze strachu, cofając się przed nim, on jednak pochwycił ją za ramię, aby ją porwać ze sobą. Krzyczałam głośno ze strachu, wtem wszedł mój syn. Co się później stało nic niewiem, gdyż czułam, że mdleję. Słyszałam tylko straszne przekleństwa i hałas ogromny. Gdy przyszłam znowu do siebie, stał Artur przy drzwiach z kijem w ręku, wołając ze śmiechem: Ten bałwan już tu nigdy nie powróci, dowiem się jeszcze, co się z nim stało. Po tych słowach wybiegł jak szalony z pokoju, a dnia następnego czytałam w gazetach o tajemniczej śmierci Drebbera.

— O której syn pani powrócił — spytałem znowu, gdy pani Charpentier zamilkła na chwilę.

— Tego nie mogę panu dokładnie powiedzieć, gdyż ma osobny klucz od bramy — odpowiedziała.

— Pani już spała?

— Tak.

— Kiedy udała się pani na spoczynek?

— Koło 11 godziny.

— Syn pani mógł zatem dopiero w dwie godziny potem powrócić?

— Tak jest.

— Możliwe jednak, że później nieco wrócił.

— To także możliwe.

— Gdzie mógł być?

— Tego nie wiem — szeptała zbladłemi usty.

— Po takiej relacyi nie wątpiłem ani na chwilę, jak mi postąpić wypada. Dobrałem sobie dwóch komisarzy, wyszukałem podoficera Charpentier i kazałem go natychmiast uwięzić. Gdy przystąpiłem do niego i wezwałem, aby nie próbował stawiać nam oporu wyprostował się dumnie.

— Zapewne podejrzywacie mnie panowie, że przyłożyłem rękę do zgładzenia tego niegodziwca Drebbera — były jego pierwsze słowa. Sami panowie przyznacie, że podejrzenie musiało paść na niego.

— Rozumie się — przyświadczał Holmess.

— Miał przecież w ręku tęgi, dębowy kij, jak opowiadała sama matka zresztą.

— Jak przedstawia pan sobie dalszy przebieg tej sprawy?

— Prawdopodobnie szedł za Drebberem aż do Brickton Street. Musiała tam powstać między nimi ponowna sprzeczka, Drebber dostał pchnięcie w okolicę żołądka i zginął na miejscu, bez śladu. Podczas gwałtownej ulewy do tego w nocy, nie było na ulicy żywej duszy, Charpentier mógł zatem niespostrzeżenie zanieść trupa do opustoszałego domu. Co się zaś tyczy światła, rozlanej krwi, napisu na ścianie, a zwłaszcza tajemniczego pierścienia, to tylko szopki, aby policyę sprowadzić z właściwej drogi.

— Znakomicie — zawołał Holmess, klaszcząc w dłoń — robisz pan postępy. Gregsonie, może być coś z pana jeszcze!

— Pochlebiam sobie, że sprawę tę rozwiązałem bardzo gładziutko — odparł Gregson zadowolony.

— Młody Charpentier twierdzi wprawdzie z całą stanowczością, że szedł za Drebberem mały tylko kawałek, ten wskoczył jednak później do dorożki, skoro go ujrzał; wracając do domu miał się spotkać Charpentier z którymś ze swoich kolegów i z nim miał długo spacerować. Kiedy spytałem jednak o mieszkanie tego przyjaciela, pokazało się, że nie umiał go podać. Fakt jasny dla mnie najzupełniej, śmieję się tylko, że Lestrade idzie całkiem fałszywym tropem, który do niczego nie doprowadzi. Lecz zdaje mi się, że i on właśnie nadchodzi.

I rzeczywiście stanął przed nami Lestrade we własnej osobie. Jego pyszna mina znikła zupełnie, twarz pełna bólu, ubranie utrzymane zazwyczaj bardzo czysto, potargane i powalane błotem. Pragnął jeszcze wskazówek Holmessa; że spotka tutaj swego kolgę, nie przypuszczał może. Niezdecydowany stanął na środku pokoju, mnąc w ręku kapelusz.

— Wysoce zawikłany, niezrozumiały dla mnie wypadek — odezwał się wreszcie.

— I pan tak sądzi — zawołał Gregson z miną tryumfatora — pomyślałem to sobie również. Czy udało się panu znaleść adres sekretarza Stangersona?

— Sekretarza Stangersona — odpowiedział Lestrade z ogromną powagą — zamordowano go w jego własnej sypialni w prywatnym hotelu Halliday.

ROZDZIAŁ VII.

Sprawa zaczyna się wyjaśniać.

Wiadomość przyniesiona przez Lestrada padła na nas tak niespodziewanie, że potrzebowaliśmy długiego czasu, aby ochłonąć z wrażenia. Gregson poskoczył z kanapy do góry, a ja patrzałem na Sherlocka Holmessa, który siedział z przygryzionemi wargami i ściągniętemi brwiami.

— Stangerson również zamordowany — sprawa zaczyna się wikłać jeszcze gorzej — zauważył wreszcie.

— Już dosyć była zawikłana — powiedział Lestrade, siadając z niezadowoleniem przy stole. — Czy to rada wojenna?

— Czy ta wiadomość, jaką pan przyniósł, pewna jednak zupełnie?

— Właśnie stamtąd powracam — brzmiała odpowiedź Lestrada. — Pierwszy odkryłem, co się tam stało.

Holmess patrzał na niego z oczekiwaniem.

— Słyszeliśmy właśnie zdanie Gregsona o tym tajemniczym wypadku — odezwał się Sherlock — czy nie zechciałbyś nam pan opowiedzieć swych przygód?

— Dlaczego nie? — odparł Lestrade — przyznaję, że podejrzywałem Stangersona o współudział w morderstwie — był to błąd ogromny, od którego odstępuję teraz pod wpływem najnowszego faktu. Przedewszystkiem chciałem się koniecznie dowiedzieć, co się stało z tym Stangersonem. Widziano ich razem wieczorem o wpół do 9 tej na dworcu Enotońskim. O drugiej w nocy znaleziono zwłoki Drebbera przy Brikston Street. Gdzie przebywał Stangerson od 8.30 aż do czasu, kiedy dokonano morderstwa — to była straszna, trudna do rozwiązania zagadka. Zatelegrafowałem do Liverpoolu, przesyłając dokładny opis osoby Stangersona, aby mi czasem nie uciekł na jakimś amerykańskim okręcie. Potem pytałem się o niego we wszystkich hotelach i pensyonatach prywatnych w pobliżu dworca. Wydawało mi się jeszcze rzeczą prawdopodobną, że Stangerson zatrzyma się na noc w pierwszym lepszym hotelu, zaczeka rano na Drebbera, jeżeli rozeszli się znowu z jakiegokolwiek powodu.

— Umówiwszy się przedtem, gdzie się mają spotkać — dorzucił Holmess.

— Prawdopodobnie — odparł Lestrade. — Na

wywiadowaniu spędziłem cały wieczór wczorajszy, dziś wczas rano o 8 zaszedłem do hotelu Halliday, mieszczącego się przy ulicy Grzegorza. Na zapytanie, czy nie zamieszkał tu czasem niejaki pan Stangerson, otrzymałem natychmiast potakującą odpowiedź:

— Pewnie pan jesteś tym panem, na którego czeka od dwóch dni — powiada portyer.

— Gdzież on jest? — zapytałem.

— Na górze w sypialni — prosił, aby go zbudzić o godz. 9.

— Chciałbym się widzieć z nim natychmiast.

— Pragnąc go zastać nieprzygotowanego, kazałem sobie wskazać jego sypialnię. Mieszkał na drugiem piętrze na końcu długiego korytarza. Wyobraź pan sobie moje przerażenie, gdy przybywszy pod drzwi, ujrzałem niespodziewanie, jak cienki, czerwony strumyk krwi przepłynął przez próg, utworzywszy po drugiej stronie formalną kałużę. Portier, który był już na schodach, nadbiegłszy na mój krzyk, o mało nie zemdlał ze strachu. Drzwi z wewnątrz zamknięte udało nam się wyważyć. Okno było otwarte, tuż obok niego leżał trup Stangersona w bieliźnie nocnej. Śmierć musiała nastąpić już przed paru godzinami, gdyż zwłoki były zupełnie zimne i zastygłe. Zamordowano go pchnięciem sztyletu w samo serce, ale czy wiecie panowie, co najciekawsze? „Na ścianie obok zwłok Stangersona ujrzałem“...

— Słowo: „Zemsta“, krwią napisane — odparł Sherlock Holmess, bez namysłu. Krew ścięła mi się w żyłach z przerażenia.

— Tak jest — Zemsta — zawołał Lestrade, a głos jego drżał widocznie.

Chwilę panowała u nas cisza grobowa. Metodyczny, lecz wysoce niezrozumiały dla nas sposób postępowania mordercy, zwiększał jeszcze grobowy nastrój. Na widok grozy wojny, zachowałem zimną krew, teraz drżał mi każdy nerw z podrażnienia.

— Morderca nie uszedł niespostrzeżony — opowiadał w dalszym ciągu Lestrade — chłopak od krów, wracając ze stajni do kuchni hotelowej, widział opartą o okno sypialni Stangersona drabinę. Gdy się oglądał zdziwiony, ujrzał, jak parę kroków przed nim, schodził po drabinie jakiś mężczyzna i to z takim spokojem i bez podejrzanego pośpiechu, iż pomyślał sobie, że to jakiś robotnik poprawiał coś w hotelu. Według jego opisu był to wysoki mężczyzna, czerwonawej cery, w długim surducie koloru szarego. Nie uciekł on natychmiast z sypialni, lecz umył sobie wpierw ręce i otarł starannie swój sztylet o poduszki Stangersona.

Zewnętrzny wygląd nowego mordercy przypomniał mi dokładnie przedstawienie go przez Sherlocka Holmessa, mimo to nie odkryłem w jego rysach cienia tryumfu lub zadowolenia.

— Czy nic pan nie znalazłeś w pokoju takiego, coby mogło przyczynić się do wyśledzenia mordercy? — zapytał tylko ciekawie.

— Zupełnie nic! Stangerson nosił sakiewkę Drebbera, nie mogło to nikogo jednak zadziwić, gdyż Stangerson opłacał wydatki podróży. Miał coś 80 funtów przy sobie, morderca nie tknął ich nawet. Nie chodziło mu zatem o pieniądze. W kieszeni zamordowanego nie znalazłem ani papierów ani żadnych notatek, tylko jakiś telegram nadany może przed miesiącem w Cleveland tej treści: „J. H. jest w Europie“. Nadawca nie podał swego nazwiska.

— To wszystko, co pan znalazłeś?

— Wszystko! Znalazłem jeszcze jakiś romans na stole, który zmarły czytał zapewne przed spoczynkiem i fajkę obok na stołku. Na stole stała jeszcze szklanka wody a na oknie pudełeczko drewniane, mieszczące w sobie kilka pigułek.

Z okrzykiem zachwytu na ustach poskoczył Holmess do góry.

— Tego mi brakowało tylko! Ostatnia zapora usunięta!

Obydwaj detektywi spoglądali na niego zdziwieni.

— Wszystkie pozornie tylko niewyjaśnione kwestye znam teraz — zawołał z przekonaniem mój towarzysz. Drobnostki nie załatwione jeszcze naturalnie, ale rzecz główna spełniona. Wszystko, co się stało, od czasu, gdy Drebber rozszedł się ze Stangersonem, aż do chwili, kiedy pan odkryłeś zwłoki sekretarza, widzę na własne oczy. Dam tego dowody. Czy może mi pan pokazać inkryminowane pigułki?

— Mam je przypadkowo przy sobie — odparł Lestrade, wyciągając z kieszeni jakieś pudełeczko — zabrałem je razem ze sakiewką i tajemniczym telegramem, aby je złożyć na policyi. Że zabrałem ze sobą pigułki, to najprostszy przypadek, gdyż powiedziawszy otwarcie, nie przywiązuję do nich zbyt wielkiego znaczenia.

— Czy pan nie wie czasem, panie doktorze — rzekł Holmess, zwracając się ku mnie — czy to są zwykłe pigułki?

Były one koloru perłowego, małe, okrągłe i prawie przeźroczyste, gdy je trzymano pod światło.

— Przypuszczam, że rozpuszczają się we wodzie — odparłem.

— To samo myślałem — zawołał uradowany Holmess — proszę, bądź pan łaskaw sprowadzić tego starego jamnika, znajdującego się w tak o-



...i wkrótce leżał martwy, bez życia, niby piorunem rażony.

płakanym stanie, że sama gospodyni prosiła nas, by go wybawić z mąk, jakie znosi.

— Przyniosłem chore ze starości psisko na rękach i położyłem je na poduszce. Jamnik oddychał ciężko, niewiele brakowało mu już.

— Teraz przekroję pigułkę — objaśniał Holmess, wyciągając scyzoryk — jedna połowa pozostanie na później w pudełku, drugą rozpuszczę w łyżeczce wody w tej oto szklance.

— Będzie to bardzo interesujące — odezwał się szyderczo Lestrade — tylko nie pojmuję, jaki to może mieć związek z zamordowaniem Stangersona.

— Cierpliwości, przyjacielu, cierpliwości. Teraz doleję jeszcze trochę mleka, aby to uczynić smaczniejszem.

Całą tę niezwykłą miksturę wylał na spodeczek, a pies lizał z niezwykłym apetytem. W milczeniu siedzieliśmy, oczekując nadzwyczajnego działania, które zdaniem Holmessa wkrótce miało nastąpić. Lecz to się nie stało. Pies wyciągnął się smacznie na poduszce, stan jego nie zmienił się zupełnie.

Holmess wyciągnął zegarek, a z każdą minutą, która mijała bez skutku, zmieniał się pogodny wyraz jego twarzy na coraz boleśniejszy. Przygryzał wargi, bębnił palcami po stole, zdradzając co chwila niebywałe zdenerwowanie. Boleść jego była tak wielka, że żal mi się go zrobiło niezmiernie, obaj detektywi natomiast uśmiechali się pod wąsem, życząc mu z serca niepowodzenia i zawodu.

— Nie może to być wreszcie przypadkowem — zawołał wreszcie Holmess, podskakując na krześle — to niemożliwe, zupełnie nieprawdopodobne! Pigułki, których działanie zdradliwe przeczuwałem u zmarłego Drebbera, znajduję w sypialni zamordowanego Stangersona, a jednak nie zdają się być trujące. Jak tę sprawę wyjaśnić? Nie mogę pomyśleć nawet, aby mój wniosek końcowy był do tego stopnia fałszywy. Ten zgrzybiały jamnik wcale nie wybiera się na tamten świat.

Wzburzony gonił po pokoju. Nagle przystanął i zawołał:

— Mam wyjście! Mam je!

Otworzył znowu pudełko, przekrajał drugą pigułkę na dwoje, rozpuścił znowu we wodzie, a gdy dolał jeszcze trochę mleka, pies rzucił się znowu na nowy przysmak. Zaledwie jednak dotknęło się biedne stworzenie językiem tajemniczej mikstury, gdy oto straszne drgawki przebiegły wszystkie jego członki i wkrótce leżał martwy, bez życia, niby piorunem rażony.

Sherlock Holmess odetchnął głęboko i otarł pot z czoła. — Nie powinienem był pozwolić tak łatwo wywieźć się w pole — zawołał. Skoro rzecz jakaś nie zgadza się rzekomo z mojemi przypuszczeniami, wyjaśnia się zwykle szybko jej dziwne pokrewieństwo, o jakiem zwątpiłem na chwilę. Jedna z pigułek zawierała w sobie śmiertelną truciznę, druga znów była zupełnie nieszkodliwa. Powinienem to był spostrzedz natychmiast, nawet gdy nie widziałem jeszcze pudełeczka na oczy.

Choć ostatnie zdanie mego przyjaciela brzmiało ogromnie ekscentrycznie, to jednak leżał przedemną martwy jamnik, wymuszony dowód słuszności teoryi mego przyjaciela. Powoli poczęła ustępować mgła nieświadomości i zwolna zarysowywał się przed oczyma mej duszy wyraźny obraz przebiegu całej sprawy.

— Wszystko to wydaje się panom dla tego tylko niezrozumiałe może, że nie mogliście wpaść na początku zaraz na ślad właściwy. Ja miałem większe szczęście a wszystkie późniejsze wypadki posłużyły tylko na to, aby mnie upewnić i wzmocnić w swych przypuszczeniach. Były one logicznem następstwem, logiczną koniecznością. Dlatego też wszystko, co w oczach panów zwiększało niejasność, mnie pomagało tylko w rozwiązaniu tej niezmiernie zawikłanej zagadki. Nadzwyczajne wypadki i okoliczności niezwykłe, nie zawsze są trudnościami nie do pokonania, przeciwnie najbardziej codzienne zbrodnie są często najtrudniejsze do odkrycia, gdyż brak tutaj punktów oparcia, ogniw jednego ciągłego łańcucha. Rozwiązanie naszego wypadku ciągnęłoby się dłużej niezwykle, gdyby znaleziono zwłoki na ulicy poprostu. Ciekawe okoliczności nie utrudniają, lecz ułatwiają śledztwo.

Gregson przysłuchiwał się temu kazaniu z rosnącą niecierpliwością, w końcu nie mógł już zapanować nad sobą:

— Zgadzam się chętnie na to — zawołał wreszcie rozgorączkowany — że z pana, panie Sherlock niezwykle sprytny człowiek, że posługuje się pan wreszcie zupełnie innemi środkami przy badaniu najzawilszych zbrodni. Ale z teoryami niedaleko pan zajdzie, mój panie — tu chodzi o schwytanie mordercy. Wszystko, czego dokonałem w tej sprawie, wygląda na rzecz nieudaną, gdyż tej drugiej zbrodni na sekretarzu Stangersonie nie mógł się dopuścić młody Charpentier. Lestrade, który znowu sądził, że powinnością jego węszyć za Stangersonem jako mordercą Drebbera, chwilowo znajduje się również na fałszywym tropie. Po pańskich uwagach, których wysłuchałem z widoczną niecierpliwością, poznałem, że wie pan coś więcej o tem wszystkiem, niż my wszyscy razem wziąwszy. Niechże pan zatem wyjawi wszystko dokładnie, i powie już raz otwarcie, kto jest właściwie mordercą.

(Ciąg dalszy nastąpi)

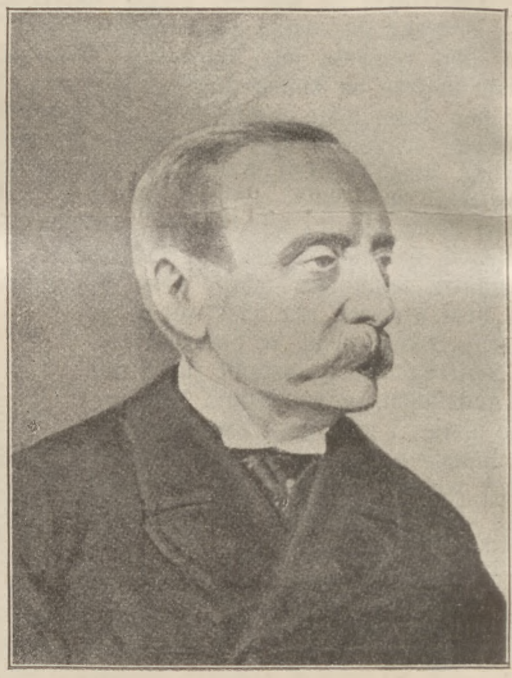
Przygoda żeglarzy powietrznych.

Niezwykły widok musiał przedstawiać ogród Tuilierów w Paryżu w czasie owego głośnego wyścigu balonów, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze, dając dwie pierwsze fotografie, zdjęte na miejscu. Nad tłumem widzów, obliczanych na przeszło 100 tysięcy, kołysało się w powietrzu 16 olbrzymich cielsk potężnych balonów, startujących w wyścigu o nagrodę ufundowaną, jak wiadomo, przez wydawcę „New-York Heralda“, Gordona Benneta. Ogólny ten widok przedstawiała jedna z naszych dwóch rycin przed tygodniem. Do startu w osobliwym wyścigu stanęło 3 Niemców, 2 Amerykanów, 1 Belgijczyk, 3 Hiszpanów, 3 Anglików, 1 Włoch i 3 Francuzów. Stosownie do warunków propozycyi w konkursie tym mogły brać udział balony z motorami albo bez motorów o pojemności 900 do 2.200 metrów sześciennych. Wygrywającym miał być albo ten, który najdłużej zdołał utrzymać się w powietrzu, jeżeli wiatr go unosił nad morze, albo też ten, który uniesiony w kierunku stałego lądu, przebył najdłuższą przestrzeń. Wszystkie ubiegające się o nagrodę balony były jednakie z wyjątkiem niemieckich, sporządzonych z bawełnianej, gumowanej materyi. Motorowy balon był tylko jeden, mianowicie głośnego Brazylijczyka Santosa Dumonta. Rezultat wyścigów, które odbyły się bez poważniejszego wypadku, był następujący: Zwycięstwo odniósł Amerykanin Frank Lahm, przebywając 740 klm. w 24 godzinach balonem „United States“ o pojemności 2.080 metr. sześc. (w poprzednim numerze daliśmy właśnie fotografię tego balonu przed odjazdem wraz ze zwycięskim aeronautą); drugim był Włoch Gianetti na balonie „Elfe“ o pojemności 1.850 metr. sześc., robiąc 540 klm.; trzecim hr. de la Vaux, Francuz, na „Walhalli“, o pojemności 2.250 metr. sześc.; czwartym Anglik Roll na „Britanii“ o poj. 2.200 metr. sześc. Słynny Santos Dumont wskutek kontuzyi, odniesionej przy kierowaniu motorem, musiał przerwać wyprawę.



Przygoda żeglarzy powietrznych: Niebezpieczne wylądowanie balonu włoskiego „Elfe“ w New-Holland (koło Hull w Anglii) z aeronautami Gianettim (na dachu) i von Willerem (na drabinie).

O niebezpiecznem wylądowaniu balonu włoskiego „Elfe“ (drugi po statku Amerykanina Lahma) opowiada porucznik Gianetti, co następuje: „Wiatr unosił balon tuż ponad ziemią na przestrzeni kilku mil. Kotwica rozorywała ziemię, wobec jednak siły wiatru nie znajdowała dostatecznego oporu. Wreszcie zaczepiła się o furtkę ogrodową farmy odosobnionej w New-Holland w hrabstwie Lincolnshire. Balon zwalił się z trzaskiem na dach domu“. Porucznik Gianetti i towarzysz jego von Willer ulegli wprawdzie dość silnemu wstrząśnieniu, wydobyto ich jednak szczęśliwie z łodzi balonowej przez okno. Uderzenie balonu było tak silne, że uszkodziło dwa domy i zerwało parkan ogrodowy. Zamieszczamy tu właśnie dwie ryciny według fotografij, z których Czytelnicy nabiorą pojęcia, w jakich okolicznościach odbyło się wylądowanie włoskiego balonu „Elfe“ na ziemi angielskiej.



Zemsta z poza grobu: Były kanclerz niemiecki, książę Klodwik Hohenlohe-Schillingsfürst, którego pamiętniki obudziły ogromną sensacyę w świecie politycznym.



Przygoda żeglarzy powietrznych: Ubiegający się w wyścigu o nagrodę Gordona Benneta, balon włoski „Elfe“, wyleciawszy z Paryża, spadł po 24 godzinach na dach farmy w New-Holland w Anglii z taką siłą, że zerwał parkan i uszkodził dwa domy.

W kraju „króla królów“.

Prąd wolnościowy, znamienny dla całego wieku XIX, który możnaby nawet nazwać wiekiem walk o wolność, zatoczył nie tylko w Europie szerokie kręgi, nie tylko na Zachodzie stał się dźwignią moralną kulturalnego życia społecznego, przedarł się bowiem nawet przez piaski Arabii, przebił się przez mur chiński i stanowi dzisiaj najważniejszą kwestyę dnia w zacieśnionych i zaskorupiałych dotąd w sennej martwocie Chinach i Persyi. A że prąd to silny, że zdolen jest dokonywać największych społecznych ewolucyj, dowodem tego fakt, że władca „państwa środka“ przyrzekł nadać narodowi swemu konstytucyę i poczynił wszelkie kroki, aby społeczeństwo do konstytucyjnego życia przygotować. Inaczej stało się w Persyi. Tam pod

naciskiem pokojowej rewolucyi szach widział się zmuszonym nadać konstytucyę odrazu, a w chwili kiedy te słowa piszemy, w Teheranie obraduje już pierwszy perski parlament.

Prąd konstytucyjny datuje się w Persyi od mniej więcej 60 lat, to jest od czasu, kiedy państwo słońca zaczęło wchodzić w bliższe stosunki z Europą. Persowie wogóle, aczkolwiek nie znają dokładnie wszelkich parlamentarnych urządzeń, odznaczali się zawsze wielkiem zamiłowaniem wolności. Wołanie o konstytucyę unosiło się też nad całem państwem niby olbrzymi głos tytana, nie rzucającego się rozpacznie do walki, ale spokojnie domagającego się tego, co mu się według wszelkich praw boskich i ludzkich należy. Nie przyszło więc w Persyi do krwawych walk, do rewolucyi, przekształcenie się państwa odbyło się w drodze pokojowej, co zaszczyt przynosi rządowi perskiemu, a przedewszystkiem szachowi, Muzzafer ed Dinowi. „Król królów“ okazał się godnym swego miana, okazał, że dorósł do wymogów chwili, że pojął ducha wieku i zamiast borykać się niepotrzebnie z tem, co siłą konieczności historycznej musiałoby kiedyś zwyciężyć, ustąpił, usłuchał głosu swego ludu, obdarzył go tem, do czego naród cały dążył, pchnął państwo swoje na nowe tory, a temsamem z panowania swego utworzył epokę, od której datować się będzie nowa era dziejów państwa perskiego. Muzzafer ed Din okazał, że nie napróżno kilkakrotnie przyjeżdżał do Europy, że wpływ kultury Zachodu nie odbił się o niego, jak o tylu innych. Dając narodowi konstytucyę, stworzył temsamem dla siebie złotą kartę w dziejach powszechnych, a niezniszczalny pomnik wdzięczności w sercach swoich poddanych.

Jedynym momentem walki o konstytucyę był strejk powszechny, rodzaj narodowego święta, urządzonego jako demonstracya na znak, że cały naród domaga się konstytucyi. Rzecz charakterystyczna, że na czele tego ruchu stali — duchowni perscy, mułłowie, ożywieni na wskroś duchem postępu. Mułłowie ci, z obawy przed prześladowaniem ministra spraw wewnętrznych, zaciekłego reakcyonisty, schronili się po strejku, przez siebie wywołanym, do ambasady angielskiej, przekonani, że w obrębie siedziby zastępcy Edwarda VII nic im ze strony rządu stać się nie może. Przez kilka dni 15.000 mułłów zapełniało dziedzińce gmachu ambasady, aż wreszcie szach widząc wzburzenie ludności, znienawidzonego ministra usunął, a sam ogłosił manifest konstytucyjny. W ciągu tygodnia rozpisano wybory, a w miesiąc niespełna po ogłoszeniu konstytucyi otwarto już parlament perski, powołany do współudziału w rządach.

Zamieszczamy dziś kilka illustracyj, mających uprzytomnić Czytelnikom dziejowego znaczenia sierpniowe dni w Teheranie. Jedna illustracya przedstawia szacha w otoczeniu straży pałacowej, na drugiej widzimy szacha w otoczeniu wybitnych uczonych, duchownych i dyplomatów, zebranych w gmachu, przeznaczonym na obrady parlamentu. Trzecia illustracya przedstawia kilka tysięcy mułłów, opuszczających gmach ambasady, a czwarta widok miejsca, gdzie 15.000 ludzi ma przygotowany obiad, składający się z mleka kwaśnego, chleba i sera. Tak żywili się bowiem mułłowie, schronieni w ambasadzie angielskiej przed zemstą znienawidzonego ministra.



W kraju króla królów: Rewolucya pokojowa w Persyi: 15.000 mułłów, dopominających się konstytucyi, chroni się do poselstwa angielskiego w Teheranie.



W kraju króla królów: W poselstwie angielskiem w Teheranie, posiłek dla 15 tysięcy mułłów (chleb, ser i mleko kwaśne).

Zemsta z poza grobu.

W popularnym tygodniku niemieckim pt.: „Über Land und Meer“ pojawiły się fragmenty interesujących pamiętników byłego kanclerza niemieckiego księcia Klodwika Hohenlohego-Schillingsfürsta, które z polecenia ks. Aleksandra, syna zmarłego kanclerza, przygotowuje do druku historyk Fryderyk Curtius. Fragmenty te wywołały w Niemczech istną burzę, stały się odrazu największą sensacyą dnia, którą zapełniły się szpalty wszystkich pism, o której mówiono wszędzie. Doszło do tego, że aż wielomówny cesarz Wilhelm wystosował do głowy rodu Hohenlohe-Schillingsfürst depeszę z naganą, depeszę wprost grubiańską.

Przyczyną tej burzy, która dosięgła aż wysokości tronu cesarskiego w Niemczech, jest treść owych pamiętników. Autor ich, uczestnik wszystkich prawie politycznych prac Bismarka, znający przeto doskonale dzieje polityki zagranicznej Niemiec w tym okresie, odsłonił w nich mnóstwo nici tajemnych, któremi osłoniętą była zwłaszcza dymisya Bismarka, otworzył cały labirynt dyplomatycznych zawikłań i intryg, które siecią otaczały żelaznego kanclerza i dumnego władcę Niemiec. Jednem słowem Hohenlohe sporządził fotograficznie wierny konterfekt pierwszych lat panowania Wilhelma II. Konterfekt bardzo wierny, ale dlatego właśnie bardzo nieprzyjemny. Mamy tu rozwiązanie mnóstwa zagadek politycznych, które w interesie Prus i Hohenzollernów i nadal powinny były zostać zagadkami. Co więcej, Hohenlohe w swoich zapiskach odsłonił taką moc fałszu, chytrości i brudu w sferach politycznych pruskich, że nikt tego niczem zmyć nie potrafi.



W kraju króla królów: Nadanie konstytucyi w Persyi: Szach Muzaffer-ed-Din na tle swej straży przybocznej, którą wyłącznie otaczał się dotychczas, jako monarcha despotyczny.

Nie dziw tedy, że ogłoszenie drukiem tych pamiętników było zarzewiem, rzuconem w gniazdo ós. Zawrzało tedy w całej prasie niemieckiej jak w ulu, zewsząd zaczęły się sypać gromy na wydawcę, a cesarz Wilhelm, w pamiętnikach tych jaskrawo oświetlony, uczuł się ich publikacyą dotknięty i niezadowolenie swoje wyraził w właściwy sobie sposób. Do syna pamiętnikarza, ks. Filipa, jako do głowy rodziny Hohenlohe, wysłał — jak wspomnieliśmy wyżej — depeszę, w której nazywa grubym nietaktem ogłaszanie bez jego pozwolenia rewelacyi, dotyczących jego osoby i to takich, które mogą za sobą pociągnąć „nieobliczalne skutki“. Ks. Filip odpowiedział spokojnie gwałtownemu monarsze, że niema nic wspólnego z wydawnictwem pamiętników, którymi z polecenia zmarłego ojca zajmuje się brat jego, Aleksander.

Ta burza, jaką wywołało ukazanie się naprzód fragmentów, a w kilka dni później książki z pamiętnikami ks. Hohenlohego, była więc rzeczą zrozumiałą i wytłómaczoną. Przewidywał ją, zdaje się, zmarły pamiętnikarz, nakazując potomkom ogłoszenie swych wspomnień „we właściwym czasie“.

Książę Klodwik, którego portret dziś zamieszczamy, miał głowę bardzo otwartą, równocześnie był człowiekiem delikatnym, naturą aż do przesady subtelną. W Berlinie zrobiono go zrazu namiestnikiem Alzacyi i Lotaryngii, potem nawet kanclerzem, ale poniewierano nim brutalnie, zwłaszcza jako kanclerzem, z którego Wilhelm II zrobił kozła ofiarnego swoich błędów, popełnianych z megalomańską porywczością na każdym kroku. Hohenlohe znosił wszystko, przyszedłszy jednak do domu, spisywał myśli, wrażenia i obserwacye „na gorąco“, tak, jak one się kształtowały w jego mózgu bezpośrednio po każdem zdarzeniu. Synom polecił ogłoszenie pamiętników, gdy go już nie stanie na świecie, przekonany, że w ten sposób zemści się najlepiej na dworze berlińskim za wszystkie poniewierki.



W kraju króla królów: Zebranie wybitnych Persów w sali, w której od tygodnia obraduje już pierwszy parlament.

I tak się stało. Wspomnienia ekskanclerza nie chybiły celu. Poruszyły całe Niemcy, rozjątrzyły do żywego wielomównego cesarza, śliną pogardy obryzgały poprostu wszystkich kierowników polityki pruskiej. Książę Klodwik się zemścił. A ta zemsta z poza grobu jest dla dworu berlińskiego stokroć dotkliwszą od każdej innej.

Pogrzeb wielkiego wodza.

Niedawno temu straciła Japonia swego najznakomitszego strategika w osobie zmarłego generała Kodamy, szefa sztabu generalnego. Wówczas to daliśmy jego portret z sylwetką. Wiadomo tedy, że to właśnie hrabiemu Kodamie zawdzięcza armia japońska po większej części swoją świetną organizacyę nowoczesną, a tem samem swoje zwycięstwo w wojnie rosyjskiej, w czasie której plan całej kampanii powstawał w jego kancelaryi i w jego ręku spoczywało naczelne kierownictwo wojowników japońskich. Temu to wodzowi wielkiemu, który tak ogromne położył zasługi dla swej ojczyzny, wyprawiono imponujący pogrzeb narodowy w Tokio. Jak widać na naszej rycinie według fotografii, która teraz dopiero nadeszła z Dalekiego Wschodu, trumnę umieszczoną na lawecie, ciągnęło dwunastu żołnierzy, bohaterów zwycięskiej wojny z Rosyą, a za zwłokami genialnego strategika postępowali marszałkowie polni Yamagata i Oyama, minister wojny Teraoutchi, generałowie Nogi i Kuroki, na czele mnóstwa najwybitniejszych wojskowych, oraz dygnitarzy państwowych. W pogrzebie hr. Kodamy wzięły zresztą udział tysiące publiczności tokijskiej w serdecznej żałobie.

W stolicy dawnej Wołoszczyzny.

W stolicy dawnej Wołoszczyzny, a dzisiejszej Rumunii, od szeregu tygodni przeżywają mieszkańcy chwile święta narodowego. Odbywa się bowiem w Bukareszcie „pierwsza wystawa powszechna rumuńska“ otwarta w tym roku z okazyi jubileuszu czterdziestolecia rządów króla Karola.

Nie jest to bynajmniej jedna z tych wielkich wystaw w rodzaju „jarmarków światowych“, ale jako publiczny egzamin narodowy, budzi słuszne zajęcie, tembardziej, że na własną powszechną wystawę krajową, zdobyła się Rumunia po raz pierwszy i pierwszy raz także Bukareszt ma tego rodzaju widowisko połączone, rzecz prosta, z mnóstwem uroczystości świetnych. Wielkie festyny odbyły się np. w czasie otwarcia wystawy przez parę królewską, obchodzącą jednocześnie swój jubileusz panowania. Teraz znowu w sposób uroczysty urządzono inauguracyę pawilonu francuskiego, dodać bowiem należy, iż wystawa bukaresztańska jest ściśle narodową, a gościnę w jej obrębie znalazły tylko Austro-Węgry oraz Francya, w osobnych, własnych pawilonach, tem milej przez Rumunów widzianych — jako przybytki przyjaciół. Wiadomo, że Rumunię wiążą stosunki bardzo sympatyczne z Francuzami, w których języku stale pisuje swoje poezye Carmen Sylwa, popularna królowa rumuńska Elżbieta, małżonka jubilata, Karola I.



Pogrzeb wielkiego wodza: Zwycięzcy z pod Laojanu i Mukdenu ciągną przez ulice Tokio na lawecie trumnę ze zwłokami generała hr. Kodamy, genialnego szefa sztabu generalnego armii japońskiej.



W stolicy dawnej Wołoszczyzny: Wystawa rumuńska w Bukareszcie, z okazyi jubileuszu 40-lecia rządów króla Karola; otwarcie pawilonu Francyi: królowa Elżbieta (Carmen Sylwa) wita się ze sławnym pisarzem, Kamilem Flamarionem.

* * *

Na otwarcie pawilonu francuskiego, który dopiero z opóźnieniem wykończono, przybyła z wizytą oficyalną para monarsza z rodziną i dygnitarzami, witana gorąco przez przedstawicieli Francyi, z której w danej chwili w Bukareszcie bawiło właśnie wielu wybitnych artystów, pisarzy i uczonych, śledzących przebieg prac kongresu literackiego. Na załączonej tu fotografii widać chwilę, kiedy królowa, wielka protektorka i wielbicielka literatury francuskiej, wita się ze sławnym astronomem i pisarzem popularnym w całym świecie, Kamilem Flamarionem, którego nazwisko nie jest zapewne obce i naszym Czytelnikom.

Z ulic Warszawy.

(Do illustracyi na str. 3).

W życiu Warszawy historycznym momentem pozostaną na zawsze owe dni stanu wojennego w roku 1906, kiedy to każdej chwili i na każdym kroku może spotkać przechodnia na ulicy żądanie przedstawiciela władzy: „proszę o paszport“... Są tygodnie, w których publiczność musi po kilka razy na dzień legitymować się książeczką paszportową, zatrzymana przez patrole na ulicach; to znów trafi się tydzień spokojniejszy, jak w tej chwili naprzykład, kiedy rewizye osobiste przechodniów stają się rzadsze i paszportu nieraz przez kilka dni z rzędu nie wyciąga się z kieszeni. Warszawa sama „umie to już na pamięć“ i fotografia przedstawiająca chwilę zatrzymania gromadki osób na ulicy przez komisarzy policyjnych z żądaniem wylegitymowania się paszportami — może dla Warszawiaków stanowić jedynie... pamiątkę. Natomiast dla publiczności zakordonowej illustracya taka jest tembardziej zajmującą, iż każdy wśród nas ciekaw — jak też wygląda w rzeczywistości jedna z tych scen, o których wspominają jej codzień korespondenci warszawscy.

TOMASZ COBB.

Tajemnicza zbrodnia

z angielskiego przełożył W. L.

2 Ciąg dalszy.

Już po paru minutach, właśnie gdy zegar na kominku godzinę dwunastą wydzwaniał, zjawiła się Lira i poprowadziła inspektora do panny Derwent.

Sprawozdawca nie przeholował, twierdząc, że panna Derwent jest bardzo ładną; miał również sposobność przekonać się o niezwykle rzadkich zaletach jej ducha, ujmujących słuchacza za najobojętniejszem słowem.

Jasne, pełne blasku oczy, nadawały jej twarzy pogodnego wyrazu, a blada nieco cera, harmonizowała doskonale z bujnymi splotami włosów. Jakiś niewypowiedziany czar leżał w jej okazałej, szlachetnej postaci. Podobnie jak jej matka, była znacznie wyższa od pana Derwenta, a najdrobniejszy ruch świadczył o skończonym powabie młodzieńczego ciała.

Nie mogła początkowo uwierzyć, że nieszczęście spadło na nią rzeczywiście. Aż do początku choroby matki płynęło jej życie spokojnie, a gdy troska o biedną chorą zmieniła się po jej śmierci w niewypowiedziany ból i rozpacz bez granic, przyłączyło się nowe nieszczęście — zagadkowe zniknięcie jej ojca. Jakkolwiek bardzo drogą była jej matka, i chociaż sercem całem lgnęła wciąż do niej, to jednak zaginiony ojciec był dla niej czemś więcej — duchowe pokrewieństwo łączyło wysoce uzdolnioną pannę Florę z jej ojcem nierozerwalnymi węzły.

Z policzkami płonącymi ze wzruszenia wstała panna Derwent od biurka ojca, przyjmując inspektora przy wejściu.

— Czy ma pan jakie wiadomości? — zapytała niecierpliwie.

— Żadnych! Na razie przynajmniej!

— Jakież to okropne!

— Przeszukałem najdokładniej dom wraz z ogrodem, zbadałem każdy kawałek, każdy gąszcz, przeglądnąłem wszystkie okoliczne stodoły, nigdzie najdrobniejszego śladu.

— Czy znalazł pan tego człowieka, który wtargnął tej samej nocy do porucznika Askewa? — zapytała panna Derwent.

— Chciałbym dostać go w swe ręce! Na razie nic pewnego! Ale wie pani co? Spieszyłem się tutaj do tego stopnia, że byłbym wpadł po drodze na sąsiada pani.

Panna Derwent rozwarła szeroko oczy.

— Pana Fairford? — spytała szybko.

— To pewnie stary przyjaciel ojca pani?

— Bynajmniej! Dopiero od dwóch miesięcy mieszka tuż obok nas. Ojciec mój poznał go wtedy, kiedy sprowadzał się tutaj, to znaczy, gdy miał zamiar uporządkować wszystko i urządzić.

— Czy pan Fairford ma liczną familię przy sobie? — badał dalej inspektor.

— Żyje sam jeden ze służbą.

— Pewnie bardzo młody jeszcze — Holt zamyślił się głęboko — zapewne nie ma jeszcze lat trzydziestu. Czy znała go pani przed jego przybyciem tutaj?

— Nie! Przed dwoma miesiącami widziałam go po raz pierwszy, gdy przechodził koło naszego ogrodu. Równocześnie z wieścią, że opustoszały dom nowych otrzyma właścicieli, zjechała cała masa rzemieślników z Londynu, aby go urządzić i umeblować. Parę dni później spotkał mój ojciec pana Fairforda, zaprosił go na śniadanie do nas i od tego też czasu stał się u nas gościem codziennym. Ojciec mój nieraz powiadał, że pan Fairford jest jedyną osobą w okolicy, z którą można pogadać przyjemnie.

— Czy ojciec nigdy nie pytał pana Fairforda o dawne miejsce pobytu?

— Raz tylko — później już nie — wydawało się nam bowiem, że wywołuje to u niego przykre wspomnienia niedawno minionej przeszłości.

— Nic zatem nie wiecie o jego dawnem życiu, zanim został waszym sąsiadem?

— Zupełnie nic! Lecz czemu pytasz pan mnie, panie inspektorze o coś podobnego? — zawołała panna Derwent zdziwiona — czyżby pan może przypuszczał, że Fairford wie coś o tajemniczem zniknięciu mego ojca?

— Boję się, czy ciekawość nie jest mojem najgorszem przyzwyczajeniem — odparł inspektor wymijająco — niech pani wie o tem wreszcie, że zdaniem mojem, ojciec pani wciąż jeszcze żyje — gdyby zginął, musielibyśmy przecież znaleźć jego zwłoki.

— Zapytam podobnie — skoro żyje, dlaczego nie powraca do mnie?

— Dla nas pewną jest rzeczą, że ojciec dotychczas nie powrócił. Stać się to mogło z dwóch przyczyn. Albo zamordowano go bez widocznego powodu, a zwłoki jego przeniesiono niepostrzeżenie do jakiegoś zaułka — albo też idąc za własnym popędem, uciekł z domu poprostu. Jest tylko jedna osoba, której może zależeć na śmierci ojca.

— Ma pan kuzyna Arnolda na myśli? — zapytała panna Derwent oburzona.

— Kuzyn Arnold — odpowiedział szybko inspektor Holt — nie był wówczas przecież w Anglii, o ile zostałem w tej sprawie poinformowany — o ile wiem, jest jeszcze zagranicą. Mogę pani przytoczyć całą masę wypadków, gdzie ludzie znikają bez widocznych powodów. Naprzykład:

Pewien duchowny, który żył dotąd najzupełniej spokojnie, opuścił pewnego pięknego poranku swój dom, pojechał do pobliskiego miasteczka odległego o mil parę i założył tam sobie najspokojniej księgarnię. Dopiero po dwóch miesiącach począł sobie zdawać sprawę ze swego postępku, nie przypominając sobie zupełnie tego, co się działo tymczasem. Wypadek ten zapisany jest dobrze w rocznikach policyi.

— Tutaj zachodzi bez kwestyi albo choroba albo obłęd kompletny — odparła panna Derwent.

— To był długo trwający atak epilepsyi.

— Nikt nie może posądzać mego ojca o epilepsyę; on był zdrów na ciele i na duszy.

— Byłoby rzeczą bardzo nierozsądną twierdzić już teraz stanowczo cośkolwiek kochana pani — zakończył rozmowę inspektor Holt. — Na policyi zastanawialiśmy się nad tem bardzo głęboko, doszliśmy wreszcie do przekonania, że zbrodnia w tym wypadku wykluczona. Gdyby zaszło coś niespodziewanego, proszę mnie natychmiast zawiadomić. Mam nadzieję, że pan Derwent ujrzy niebawem swą córkę, a wtedy zaraz dowiemy się o wszystkiem.

ROZDZIAŁ IV.

Owen Fairford.

Jakkolwiek miała panna Flora niejednego dawniejszego przyjaciela, to jednak żaden z nich, wyjąwszy kuzyna Arnolda, nie był bardziej zaufanym od pana Fairforda. O życiu jego poprzedniem, o dawnych stosunkach nie wiedziała zupełnie nic i jakkolwiek obcą jej była jego familia i chociaż nie znała powodów, dla których przybył tak niespodziewanie do Rookfield, mimo to jednak była jego serdeczną, całem sercem oddaną przyjaciółką. Wysoki na sześć stóp przeszło, o barkach szerokich i silnych, o twarzy opalonej od słońca, był typem prawdziwego syna Anglii, jakich spotkać można w szkołach w Oxford lub Cambridge. Mógł mieć lat 34, wyglądał jednak daleko młodziej przy swem rumianem, pogodnem obliczu.

Zdaniem panny Derwent miał coś w sobie pan Fairford, co wyróżniało go na jego korzyść z pomiędzy całego szeregu mężczyzn. Co to być mogło, nie zdawała sobie dobrze sprawy. Włosy miał czarne prawie, oczy niebieskie, w których malował się stale smutek bezgraniczny. A może owo zamyślone spojrzenie w połączeniu z niezwykłym trybem życia, kazało jej przypuszczać, że gnębi go jakaś mara smutku, przyczem nie mogła mu panna Derwent nie okazywać głębokiego współczucia.

W poniedziałek popołudniu złożył jej pan Fairford wizytę po raz pierwszy od śmierci matki.

— Nie mogłem przyjść wcześniej — powiedział na wstępie, pozdrawiając swą przyjaciółkę — dziś jeszcze przychodzę z wahaniem, bo sam nie wiem, jak panią pocieszyć. Bo choćbym używał słów najbardziej oględnych, to wiem przecie dobrze, że obudzą one niepotrzebnie dawno uśpione może wspomnienia. Niech się pani zatem zdaje, że powiedziałem wszystko, co czuję i uwolnimy się od dalszej męki.

— Cieszę się ogromnie, że widzę pana u siebie — odpowiedziała serdecznie.

— Inspektor był dzisiaj u pani — mówił Owen w dalszym ciągu — pewnie przyniósł jakieś wieści. Gorące pragnienie dowiedzenia się czegoś od pani, sprowadza mnie dzisiaj do pani.

— Nic nowego nie dowiedziałam się od pana Holta — odparła panna Derwent ze drżeniem w głosie. Adwokat mego ojca przysłał przeszłego czwartku do mnie inspektora. Przeszukał wszystkie kąty badawczo, wybadał całą służbę z wyjątkiem Anny.

— Dlaczego nie pytał się Anny?

— Leżała chora w łóżku — nie mógł wejść do jej pokoju. Zresztą inspektor Holt twierdzi uporczywie, że ojciec mój uciekł z domu party jakimś wewnętrznym popędem. Tem musimy się na razie zadowolnić.

— Czy pani uważa jednak za stosowne rozpisywanie nagrody — spytał Owen.

Dr. Wiret robi tak za radą naszego adwokata Edwardsa. Ach! jakżeż okropną jest ta niepewność. Najtragiczniejszą wiadomość zniosłabym z większym spokojem.

Owen rozsiadł się wygodnie w fotelu i opierając oba ramiona na kolanach, wyciągnął silne, szerokie dłonie z wyrazem współczucia.

— Nie trzeba tracić nadziei — pocieszał pannę Derwent — nie znamy zupełnie okoliczności, jakie towarzyszyły zniknięciu ojca pani.

— Czy poznamy je kiedykolwiek? Zaledwie odetchnę na chwilę, wnet straszna rzeczywistość przygniata mnie swoim okropnym ciężarem. Niema minuty, abym nie widziała przed sobą mego biednego ojca. Teraz jeszcze zdaje mi się, że za chwilę otworzą się drzwi i ojciec uściska mnie niebawem, jak to dawniej bywało.

— Zdaniem mojem panno Floro, byłoby może najlepiej zdecydować się opuścić obecne mieszkanie, które jak to teraz widzę, zwiększa tylko jej smutek.

— Postąpiłabym tak dopiero wtedy, gdybym nie miała innego wyjścia. Lecz dokąd iść teraz? — mówiła dalej z goryczą w głosie. Mam tylko jednego krewnego, kuzyna Arnolda, a gdzie on teraz przebywa, nie wiem. Niedawno był w Kaplandzie, ponieważ jednak pani Edwards nie zna dokładnego jego adresu, to możliwą jest rzeczą, że list o śmierci mej matki i tragicznem zniknięciu ojca wcale go nie doszedł.

— Nie przypominam sobie, czy pan Derwent mówił kiedykolwiek o Arnoldzie.

— Wspominaliśmy go niechętnie. Dawniej był u nas, żyliśmy jak brat ze siostrą. Gdy wyjechał do Londynu, aby według życzenia mego ojca poświęcić się medycynie, zeszedł na manowce i medycynę porzucił. Gdy nie chciał składać egzaminów, stracił ojciec cierpliwość i odepchnął go zupełnie od siebie. Pojechał do Kaplandu, miał być przy konnej policyi. Odtąd nie słyszeliśmy o nim zupełnie.

— Czy pani sądzi, że Arnold powróci poinformowany o wszystkiem przez adwokata?

— On jest spadkobiercą — odpowiedziała panna Derwent. — Majątek dziadka przechodzi z ojca na Arnolda. — Skoro skonstatują śmierć ojca, zostanie Arnold jedynym właścicielem całego majątku.

Owen wahał się chwilkę.

— Pani nie bierze tego dosłownie — zawołał wreszcie — pisma ojca pani rozpowszechnione są po całym świecie, prawa autora przynoszą mu zatem wcale ładny zysk.

— To prawda — panie Fairford — ale przeszły przeważnie na własność wydawców. Ileż razy nazywała matka poezye te pierwszą jego miłością. W każdym razie nie szczędził ojciec na ozdobienie zewnętrzne swych dzieł. Sam pan wiesz dobrze, w jak ozdobnych szatach wychodziły. Dlatego zysk z nowego utworu musiał pokrywać opublikowanie pierwszego.

— Pani wybaczy mą śmiałość — jeśli skonstantowano śmierć ojca pani, miałaby pani być w rzeczywistości do tego stopnia zależna od kuzyna Arnolda? Pani wybaczy tak otwarte pytanie, ale zdaje mi się, źle zrozumiałem słowa pani.

— Nie! nie! — zawołała panna Derwent dobitnie — zależną będę jedynie od siebie samej. Przyszłości nie boję się zupełnie. Potrafię to samo, co i inne kobiety. W porównaniu z bólem po utracie mego ojca, każda strata będzie dla mnie daleko mniej bolesną.

— W każdym razie — wtrącił nieśmiało — trzeba przecież pomyśleć o wszystkiem.

— Dzięki doktorowi Viretowi nie potrzebuję się na razie niczego obawiać. Nie umiem tego wyrazić, jaki on dla mnie dobry. Nie mam prawa odbierać z banku pieniędzy. Doktór Viret złożył pewną sumę na moje imię, abym mogła opędzić najpotrzebniejsze wydatki. Obiecał także zapłacić wyznaczoną nagrodę. To jest mój szczery przyjaciel — dobrzeby było, gdyby się pan z nim zaznajomił.

Fairford powstał, chwycił za czapkę.

— Jedyną rzeczą, której teraz pragnę — dodał, żegnając się z panną Derwent, jest módz pani usłużyć czemkolwiek. Ale wobec prawdziwej miłości ukazuje się najlepiej nasza niemoc. Niema rzeczy okropniejszej, jak być świadkiem cierpienia

osoby, którą się ceni najbardziej, i nie módz jej pomódz.

Przy tych słowach ujął ją za rękę. Oczy ich spotkały się, teraz wydały się one dziewczęciu daleko smutniejsze niż kiedykolwiek.

— Pan mnie najlepiej rozumie i odczuwa — szeptała, ujęta świętością chwili — zdaje mi się, że i pana coś gnębi, może jakiś cichy, lecz tem boleśniejszy smutek.

Fairford pomyślał sobie w duchu, że w życiu spotyka po raz pierwszy dopiero kobietę tak tkliwą i oddaną. Nie powiedział i słowa, potężna jego postać poczęła drżeć, oczy zaszły mu mgłą. Odetchnął głęboko, aby pozostać panem siebie, uścisnął jej rękę i raz jeszcze na nią spojrzawszy, opuścił pokój.

ROZDZIAŁ V.

Cherchez la femme.

Gdy Józef Bodger wysiadał w poniedziałek wieczorem z pospiesznego pociągu na stacyi Rookfield, byłby go nie poznał nawet inspektor Holt tak zmieniony wyglądał w nowym, połyskującym cylindrze i czarnym tużurku, zakupionym z drugiej ręki u jakiegoś handlarza starzyzny; ubranie za obszerne nieco, zwisało potężnie z wychudłego Bodgera, choć wcale gładko odprasowane spodnie nadawały mu wygląd eleganckiego podróżnego.

Bodger zamierzał śledzić ową tajemniczą damę i ten plan sprowadził go teraz do Rookfield. Widział ją wtedy w nocy, jak szła w kierunku cmentarza, przypuszczał zatem, że spotka ją najpewniej w okolicy pałacu porucznika Askewa. Aż do północy błąkał się Bodger koło stacyi kolejowej, później dopiero odważył się postąpić naprzód i szybko skierował swe kroki w stronę „Wroniego gniazda“.

Noc była ciemna, księżyc skrył się za chmury, na ulicy nie było nikogo. Na wprost drzwi ogrodu Derwenta, widać było drugą bramę, prowadzącą na łąki — tam skrył się Bodger i czatował cierpliwie. Żaden szmer nie zakłócał spokoju, żadna gałąź nie poruszyła się. Dopiero po paru godzinach zdawało mu się, że słyszy w oddali regularne, powolne kroki — ktoś spacerował, nie zbliżając się wcale do jego ukrycia.

Ostrożnie jak lis począł się skradać koło ogrodu Derwenta osłoniony zwisającemi gałęziami drzew, zatrzymał oddech i przysłuchiwał się tajemnym krokom.

Z zapartym oddechem posuwał się zwolna coraz bardziej, trzymając się stale parkanu, aż wreszcie udało mu się znaleźć w nim otwór, przez który przedostał się na drugą stronę i wkrótce, nie zdradzając swej obecności najdrobniejszym szelestem, stanął tuż przy ogrodzeniu, stanowiącem granicę posiadłości Fairforda. Podobnie, jak pod domem, stało tu parę lip otoczonych gęstym krzewem. Bodger wychylił się ostrożnie z ukrycia i ku największemu zdziwieniu ujrzał tę samą tajemniczą postać, którą widział w poprzedni wtorek. Nieznana osoba spacerowała powoli koło domu Fairforda, krocząc parę kroków od niego.

Widok ten ściął mu krew w żyłach, gdy ją znowu zobaczył, jak szła wyprostowana jak struna krokiem szerokim, męskim, czarno ubrana, zawalowana starannie. Długie, zda się nieludzkie ręce zwisały ociężale po obu stronach! Po paru minutach stanęła przed domem Fairforda, skąd padał słaby promyczek światła; wyjęła klucz z kieszeni, włożyła go w zamek — Bodger posłyszał zgrzyt przy otwieraniu i za chwilę znów znikła rozwiązując po części zagadkę, dla której Bodger przyjechał.

„Wronie gniazdo“ należało do najstarszych domów w Rookfield. Wąskie wejście osłonione było dachem ochronnym, po obu stronach okna, z prawej strony przytykała do głównego budynku stajnia. Dolna część domu murowana była z czerwonych cegieł, górna i piętrowa zaś z drzewa. Przy oknach widać było prócz krat także story.

Skoro udało się Bodgerowi wybadać tak szybko miejsce zamieszkania tajemniczej osoby, postanowił jeszcze bliżej zapoznać się z nią. Na razie musiał wstrzymać się z dalszem badaniem. Szybko wyskoczył z ukrycia, rozglądał się chwilę po okolicy, aż wreszcie znalazł wcale wygodną stajnię, w której pozostał aż do rana.

Następnego dnia koło siódmej zrana podjął walkę na nowo i tym razem wystąpił już śmielej, gdyż stanął w pobliżu domu Fairforda, bacznie uważając na wszystko. Nie czekał dłużej niż kwadrans, gdy na progu domu ukazała się postać młodej i zgrabnej osóbki. Miała pięknie skrojoną bluzkę jedwabną, zgrabną spódniczkę, z pod której widniały dwie drobne nóżki obute w eleganckie trzewiki. Czarny kapelusz ozdobiony dużem piórem harmonizował doskonale z jej młodą, świeżą twarzyczką.

To była Sara, która sama nie umiała zdać sobie sprawy, dlaczego wstąpiła do służby na wsi. Dziś miała wychód, zdecydowała się zatem na krótką przechadzkę, choć towarzystwo, jakie spodziewała się znaleźć tu w opustoszałem Rookfield, nie bardzo jej przypadało do gustu. Bez planu szła przez ogród, gdy nagle ujrzała przed sobą w małem oddaleniu młodego, wysmukłego mężczyznę, który na nią zuchwale nieco spoglądał, trzymając przytem cienką laseczkę w oryginalny sposób.



— Czy pan ma jakie wiadomości — zapytała niecierpliwie.
— Żadnych! Na razie przynajmniej!

Szybko ustąpił, aby przejść mogła swobodnie, lecz zaledwie uszła Sara parę kroków od niego, gdy nagle przypomniała sobie, że zapomniała w domu parasolki. Kwiatki ukazywały się zaledwie, słońca jeszcze nie było, mimo to uważała za stosowne wrócić się po nią.

Tym razem nie usunął się Bodger, lecz przeprosił ją grzecznie, że zastępuje jej drogę. Przypatrzyła mu się dokładniej i spostrzegła ku swemu niemałemu zdziwieniu, że twarz jego daleko bardziej jest zwiędłą, niżby mogła sądzić po jego zgrabnej postawie.

— Pani wybaczy — powiedział — nie chcę pani zupełnie zatrzymywać — chciałbym tylko spytać się, czy jestem na dobrej drodze.

Nie spotkawszy się z odmową, wlókł się Bodger przy boku Sary w głąb wsi.

— Jakże wspaniale pani mieszka — mówił dalej — wspaniały, mały zameczek, istne wymarzone gniazdeczko. Musi być wcale liczne gospodarstwo.

— Właśnie że nie! Całe gospodarstwo stanowię ja razem z panią Cawdrey — odpowiedziała Sara zalotnie — nie mamy miejsca dla obcych.

— Któż to ta pani Cawdrey?

— Pani Cawdrey umie wszystko -- jest kucharką, gospodynią i zarządczynią w jednej osobie.

— To panie tylko we dwójkę mieszkają?

— Chętnie wzięłybyśmy jakiego służącego, gdyby się znalazł jakiś; praca w ogrodzie zajmuje teraz panu Fairfordowi bardzo dużo czasu. Pan Fairford pracuje wprawdzie niezwykle pilnie, męczy się jednak bardzo prędko przy pracy — pozostałyby jeszcze buciki do czyszczenia, prócz tego musi spać służący w pustej stajni, a to odstraszało dotąd każdego.

— Czy rzeczywiście — pomimo tego, że pani tak blisko — to mię dziwi ogromnie — odpowiedział Bodger, kłaniając się nisko. Czy w domu niema ani odrobinki wolnego miejsca? Miałażby być familia tak liczną?

— W domu niema nikogo prócz pani Cawdrey, mnie i pana Fairforda —odpowiedziała Sara z naciskiem. Jesteśmy dopiero dwa miesiące tutaj, przyjechaliśmy w styczniu — nie powiem, aby podróż była bardzo przyjemna.

— Szkoda, że mnie wtedy nie było. Byłbym mógł być pani pomocny. No i cóż dalej?

— Ach! pamiętam to wszystko dokładnie jeszcze. Z ogromnymi pakunkami przyjeżdżamy we środę, ja i pani Cawdrey, która mnie w Londynie do służby przyjęła. Pan Fairford był już w domu, w nocy zaraz gdzieś wyjechał. Do piątku nie było go zupełnie. Dom urządziłyśmy tymczasem najspokojniej, a pana Fairforda jeszcze nie było. Zdawało się, że umrę ze strachu, gdy stanął przedemną rano w sobotę.

— Musiał zatem w nocy powrócić!

— Naturalnie—zawołała Sara—pociągiem nie mógł przyjechać. Przypuszczam, że wpuściła go pani Cawdrey. Rano stał już w przedpokoju, aby mnie tak okropnie przerazić.

Na tem skończyła się pierwsza rozmowa Sary z Bodgerem. Nie mało się też zdziwiła, skoro następnego dnia przedpołudniem ujrzała go koło 11 godziny na schodach.

— Czy jest pan Fairford w domu? — zapytał. skinąwszy poufale na dziewczę — słyszałem. że potrzebujecie tutaj zręcznego służącego.

Pozostawiony sam jeden w przedpokoju, skorzystał Bodger z nadarzającej się sposobności i rozglądał się ciekawie dokoła. Na lewo były drzwi, prowadziły prawdopodobnie do pokoju przyjęć — w tyle widać było schody na górę, tam też spostrzegł Bodger urządzenie, które zainteresowało go ogromnie. Mała zapora z desek biegła od jednej ściany do drugiej, podczas, gdy małe wąskie drzwi stanowiły przejście do następnego piętra. Tą ścianą z desek było pierwsze piętro zupełnie odgrodzone od reszty mieszkań.

Jeszcze spoglądał Bodger w zamyśleniu, nadaremnie starając się odgadnąć, coby tam mogło być ukrytego, gdy nagle weszła Sara, aby poprowadzić go do obszernego gmachu, o ładnem urządzeniu, który wyglądał jednak tak, jakby nie starała się o niego żadna gospodyni.

Fairford, który siedział właśnie przy stole nakrytym, odłożył na bok gazetę, powstał i włożywszy ręce do kieszeni, stanął przed płonącym kominkiem.

— Czego pan sobie życzysz — spytał krótko Bodgera, patrząc na niego badawczo.

— Słyszałem, że potrzebuje pan służącego do wszystkiego.

Przy tych słowach skłonił się nisko. Rysy jego nie były wcale sympatyczne, ale Owen nie patrzał już na niego. Jego eleganckie ubranie musiało wskazywać na porządnego służącego, więc Owen spytał po chwili:

(C. d. n.)

Zamordowanie redaktora.

Ofiarą bandytyzmu, panoszącego się ciągle w Warszawie, padł w tych dniach jeden z najzdolniejszych publicystów polskich, śp. Jan Gadomski, redaktor i wydawca „Gazety Polskiej“. Oto przebieg tragicznych okoliczności, w jakich zginął przedwcześnie człowiek pożyteczny, w pełni sił żywotnych.

Około 7 wieczorem w mieszkaniu swojem pod l. 5. przy ul. Widok na parterze, czytał teść nieboszczyka, a znany adwokat Feliks Dębski, wysławszy służącą do pobliskiego kiosku po dzienniki wieczorne. Wyszła ona drzwiami kuchennemi, które zaraz za nią zamknął na łańcuch mąż jej, a lokaj mecenasa. Po chwili ktoś zapukał i na pytanie, odpowiedział głosem kobiecym, naśladującym głos służącej. Mimo to lokaj drzwi nie otworzył z łańcucha, lecz tylko je uchylił, bo nie dowierzał, by żona mogła tak rychło powrócić. Lecz w tej chwili ktoś wsunął drąg żelazny między drzwi i błyskawicznie przeciął nożycami łańcuch. W ten sposób wtargnęło do mieszkania 4 uzbrojonych w browningi bandytów. Jeden został w kuchni przy lokaju, tamci zaś, obznajomieni widocznie z rozkładem mieszkania, dostali się zaraz do pokoju stołowego i znienacka stanęli za plecyma czytającego mecenasa. „Dawaj pieniądze“! — krzyknęli — kierując mu do skroni lufy rewolwerów. Pan Dębski chcąc zyskać na czasie, oświadczył gotowość udania się do gabinetu, gdzie miał większe pieniądze w kasie. Dwaj rabusie poszli tam z mecenasem, a trzeci stanął na czatach w przedpokoju. Wtem zadzwoniono gwałtownie do drzwi. To redaktor Gadomski zbiegł z żoną ze swego mieszkania na drugiem piętrze, dowiedziawszy się o napadzie na teścia. Zastał drzwi zamknięte, więc zadzwonił. Bandyta na warcie uchylił drzwi, również i tu założone na łańcuch, a spostrzegłszy twarz obcą, chciał je zatrzasnąć. Lecz redaktor Gadomski strzelił dwukrotnie do wnętrza z rewolweru. Chybił, a w odpowiedzi padły z rąk zbójów dwa strzały, po których Gadomski ranny, runął na ziemię. Miał jednak tyle energii, że dźwignął się o własnych siłach i brocząc krwią obficie, wrócił do swego mieszkania, gdzie upadł bezsilny. Przeniesiono go na łóżko, wezwano lekarzy. Ratunek był rychły, ale nie można było ani marzyć o wyjęciu kuli, która złamawszy obojczyk, poszarpała płuca i uwięzła pod łopatką. Ranny dusił się i musiano zastosować sztuczne oddechanie tlenem. Chory męczył się do rana, prawie przytomnie znosząc cierpienia, aż przed 4-tą, odebrawszy wprzódy z rąk kapłana ostatnią pociechę religijną, skonał, osieracając młodą żonę, 8-letniego synka i 6-letnią córeczkę. Teść jego wyszedł z zamachu szczęśliwie, a bandyci zaraz po strzałach zbiegli. Z czyjej ręki zginął Gadomski — nawet nie wiadomo.



Zamordowanie redaktora: Wybitny publicysta warszawski, śp. Jan Gadomski, redaktor i wydawca „Gazety Polskiej“ i „Bibl. dzieł wyborowych“, który zginął z rąk bandytów, gdy stanął w obronie napadniętego teścia.

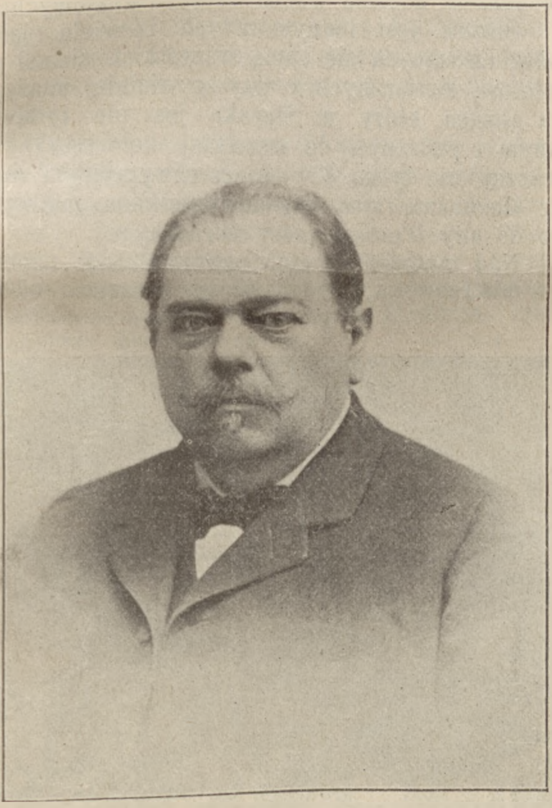
* * *

Zaiste niepowetowaną stratę poniosło społeczeństwo nasze przez przedwczesny zgon śp. Jana Gadomskiego. Z chwilą, kiedy zmieniające się warunki polityczne kraju zaczęły wymagać specyalnie uposażonych energii i uzdolnień, na pierwszy plan życia publicznego w Warszawie, wysunął się nieboszczyk, jako człowiek o kwalifikacyach niepospolitych pod względem charakteru, umysłu i temperamentu, Literat ustąpił miejsca publicyście, ruchliwy i przedsiębiorczy wydawca, redaktorowi. Jego doświadczenie, rozwaga, takt, wykształcenie polityczne, jego patryotyzm gorący, mogły znaleść szerokie ramy rozwoju dopiero w obejmujących bardziej zasadnicze kręgi warunkach życiowych. W miarę też, jak ta działalność wcielała się w życie, stawało się widocznem, że w Gadomskim posiada Warszawa siłę pierwszorzędną. I w wielu kołach w ostatnim czasie zaczynało się uświadamiać poczucie, iż bogatej indywidualności Gadomskiego należy dać obszerniejsze pole działania. Przeznaczano mu na razie w luźnej wymianie opinii, wpływową rolę, pragnąc wybrać go posłem. Tymczasem nieboszczyk, ukochawszy swój zawód



Zamordowanie redaktora: Tragiczna śmierć redaktora Jana Gadomskiego w Warszawie.

redaktorski, sam ani myślał o porzucaniu posterunku warszawskiego, a w ostatnich czasach jego energia publicystyczna wzrastała właśnie coraz bardziej. Pisał prawie codzień artykuły wstępne, w których od szeregu tygodni propagował sprawę doprowadzenia do skutku tzw. koncentracyi stronnictw narodowych. Artykuły jego uchodziły za jedne z najlepszych w prasie warszawskiej i były cenione nawet przez jego nieprzyjaciół poli-



Zamordowanie redaktora: Znany w Warszawie mecenas Feliks Dębski, w którego obronie zginął z rąk bandytów zięć jego, ś. p. redaktor Gadomski.

tycznych. Do żadnego z istniejących stronnictw nieboszczyk nie należał, co mu nadawało swobodę krytyki i bezstronność w sądach. Ze stanowiska społecznego był głęboko przekonanym demokratą. I człowiek ten zginął w obronie zagrożonego życia ludzkiego, z ręki zbrodniczej, on, który miał odwagę mordy pospolite na ulicach Warszawy, nic wspólnego z czynami politycznemi nie mające — nazwać po imieniu.

Zginął w 47 roku życia. Rodem Warszawianin, odbył studya w mieście rodzinnem i w Petersburgu, gdzie będąc słuchaczem instytutu górniczego, przepędził niespodziewanie nawet kika miesięcy w więzieniu, jako przestępca polityczny. Przeniół się na uniwersytet Jagielloński i wkrótce w Krakowie zaczął zawód dziennikarski w ówczesnej „Nowej Reformie" (1880), za redakcyi niezapomnianego Tadeusza Romanowicza. Podróżami po Europie uzupełniwszy jeszcze swoje wykształcenie, powrócił do Warszawy, gdzie pisywał w „Świcie" (Konopnickiej) i w „Kłosach". W 1886 r. na konkursie Bogusławskiego wziął nagrodę za potężny dramat „Larik", pełen porywów wolnościowych, który Gadomskiemu utrwalił imię na kartach polskiego dramatopisarstwa. Był znawcą dobrym teatru i przez długi czas uchodził słusznie za jednego z najlepszych recenzentów w Warszawie.



Zamordowanie redaktora: Pogrzeb ofiary bandytyzmu w Warszawie: członkowie redakcyi „Gazety Polskiej" wynoszą z kościoła św. Krzyża trumnę ze zwłokami ś. p. redaktora Gadomskiego. (Fot. St. Marynowski).

Mimo gorącego przyjęcia „Larika" na scenie, oddał się jednak dziennikarstwu i dla chleba i dla tego, że był przedewszystkiem urodzonym dziennikarzem. Przez lat 20 prowadził dział polityczny w „Gazecie Polskiej", której stał się filarem, a następnie reformatorem. Od 1898 stał się jej naczelnym redaktorem, a kiedy władze zamknęły ją na pół roku za artykuł z aluzyami do pomnika Murawiewa — także wydawcą i właścicielem.

Prowadził ją aktualnie, poruszając tematy społeczne, co wywoływało dawniej niebywałą dyskusyę publiczną. On to wpadł na myśl dodawania do gazety co tydzień 10-arkuszowej książki, co wywołało przewrót w dziennikarstwie warszawskiem, a spopularyzowało wiele cennych, mało znanych utworów powieściowych i literackich. Równie starannie redagował nieboszczyk w ostatnich latach obok „Gazety Polskiej", której zapewnił ogromną poczytność, także „Bibliotekę dzieł wyborowych". Najwybitniejszym śladem jego działności, pozostanie opracowany przez Gadomskiego memoryał dla komisyi Kobeki w Petersburgu, w której obradach brał żywy udział, godnie nad Newą reprezentując prasę polską. Przed 6 laty, cudem niemal ocalał z katastrofy kolejowej pod Włochami, gdzie stracił siostrę, a dziś padł z ręki nieznanego opryszka.

Cześć jego pamięci!

Poalej-Sion.

Przez trzy dni ubiegłego tygodnia obradował we Lwowie w sali stow. „Jad Charuzim" trzeci austryacki kongres partyi poalej syońskiej. Partya ta istnieje od lat dziesięciu wogóle, do Austryi zaś,



Fot. dla „Now. Illustrowanych" M. Münz, Lwów.

Poalej-Sion: Grupa uczestników lwowskiego kongresu partyi poalej-syońskiej.

a przedewszystkiem do Galicyi została przeszczepioną przed trzema laty z Rosyi, gdzie jest jej kolebka. Według ostatniego sprawozdania, rozwija się ona pomyślnie i liczy obecnie w Austryi 31 miejscowych organizacyj, a 58 filij związku. W Krakowie wychodzi organ tej partyi „Der jüdische Arbeiter“, przemieniony niedawno z dwutygodnika na tygodnik, a redagowany w żargonie. Z austryackich krajów, najwięcej zwolenników tej partyi liczy Galicya.

W zjeździe lwowskim wzięło udział przeszło 100 delegatów związku z Galicyi, Bukowiny, Wiednia, Pragi i Rosyi. Prócz spraw wewnętrznych partyi, jak organizacya, taktyka, prasa, fundusze, załatwiono na kongresie, na podstawie wyczerpującego referatu dr. Kaplańskiego, kwestyę nowego programu partyi. Nowy ten program stwierdza, że partya poalej-syońska stoi na zasadach socyalizmu naukowego, a jako najważniejszy punkt programu, równobrzmiącego z programem partyi socyalno demokratycznej, uważa terytoryalne rozwiązanie kwestyi żydowskiej w Palestynie; aż do chwili urzeczywistnienia tego najważniejszego punktu programowego, partya dąży do uzyskania pełnego równouprawnienia dla narodu żydowskiego, na podstawie autonomii narodów. Jako nazwę dla partyi przyjęto: żydowska socyalistyczna partya robotnicza Poalej-Sion. Jak z tego widać, jest program partyi poalej syońskiej kombinacyą programu syonistycznego z programem socyalno-demokratycznym. Syoniści odnoszą się względnie sympatycznie do poalej-syonistów, i delegaci syońscy brali udział w obradach kongresu, jako goście.

Babie lato.

Nie odmówiła nam w tym roku przyroda uciech „babiego lata“ w jesieni; a znalazł się w Krakowie pomysłowy komitet, który wyzyskał te dni snującej się w powietrzu pajęczyny na miłą a pożyteczną zabawę. Pod nazwą „Babiego lata“ urządzono w ślicznych salach „starego teatru“ popularne zebranie towarzyskie na dochód ubogiej młodzieży szkolnej, urozmaicone koncertem i programem scenicznym, w którym wziął chętny udział grono amatorek. Był pochód jesieni, był Moniuszkowski obrazek ze śpiewami „Prząśniczki“, była wreszcie uscenizowana legenda Gawalewicza „Babie lato“ również przy muzyce, słowem, coś nowego w Krakowie, na wzór zabaw podobnych, pod aktualnemi nazwami z powodzeniem urządzanych w Dolinie Szwajcarskiej w Warszawie. Pomysł był dobry i zdobył sobie u nas również powodzenie, a pamiątką z niedzielnej zabawy będzie nasza fotografia.

Podróże szkolne.

Zamieszczamy dziś grupę kilkunastu uczniów II. szkoły realnej krakowskiej, a uczestników trzydniowej podróży po kraju, odbytej w dniach od 4 do 6 b. m. pod kierownictwem jednego ze swych profesorów. Nie pierwsza to ich wycieczka, a powiodła się jak poprzednie, wybornie. Chłopcy zwiedzili historyczne zamki w Olesku i Podhorcach, te piękne pomniki chlubnej naszej przeszłości i drogą nam spuściznę po Sobieskim.

Nadto poznali szczegółowo 2 największe fabryki krajowe, jak papiernię w Sassowie i cukrownię w Przeworsku, łącząc w ten sposób ukochanie wielkiej przeszłości narodowej z podziwem dla olbrzymiej siły wytwórczej dzisiejszego przemysłu krajowego.

* * *

Podróże takie są świetnym środkiem wychowawczym pod warunkiem, że jak właśnie w tym wypadku, bierze w wycieczce udział tylko kilkunastu uczniów odpowiednio dobranych.

Krakowski tydzień operowy.

(Do portretu na stronie 16).

Pierwszą w tym sezonie muzycznym produkcyą był koncert ulubieńca Wiednia, śpiewaka nadwornej opery, tenora Leona Slezaka. Artystę tego przedstawił Krakowianom jeszcze w ubiegłym sezonie ś. p. Lityński na koncercie filharmonii lwowskiej, a dziś wyborny ten śpiewak, który podbił sobie słuchaczy pierwszą zaraz nutą, stanął już w naszem mieście wobec dobrych znajomych.

Slezak jest jednym z tych niewielu śpiewaków, cieszących się sumą wszystkich niemal przymiotów, koniecznych u artysty wielkiej miary, poza głosem, który u Slezaka jest nie tylko pięknym i podatnym do wszelkiej kolorystyki śpiewaczej, nie tylko dźwiękiem chwytającym za serce słuchacza, lecz przedewszystkiem materyałem co do siły i potęgi pierwszorzędnym.

Nad materyałem tym panuje Slezak naprawdę po mistrzowsku, wydobywając wszelkie odcienia i efekta dynamiki ze swobodą i łatwością, jaką nie każdy śpiewak poszczycić się może. Ta sprawność techniczna ułatwia artyście w wysokim stopniu oddanie utworu muzycznie i duchowo. Slezak frazuje bardzo pięknie, szlachetnie i muzykalnie; w muzycznem oddaniu utworu czuć osobnika bardzo kulturalnego i subtelnego muzycznie, rozumiejącego doskonale illustracye tonem, frazą i okresem tekstu pieśni, którego treść i osnowa jest zawsze trafnie odczuta i właściwie oddana. Ta też refleksyjność, jak niemniej unikanie szerszych linij w prowadzeniu melodyi, sprawia, iż podziwia się u Slezaka wysoki kunszt w pieśni a odnajduje się uczucia nie wiele.

Slezak jest śpiewakiem operowym, poruszającym się najchętniej w kostyumie. Na estradzie jednak zdaje sobie doskonale sprawę z roli śpiewaka operowego. Szkoda tylko, iż produkcyj swych pod względem artystycznym skończonych („Fiołek“ Mozarta, „Cäcilie“ R. Straussa, „Der Leur“ Hildacha) nie urozmaicił bodaj jedną piosenką słowiań-



Fot. aparatem redakcyjnym „Now. Ill.“ przy sztucznem oświetleniu W. Lis.

Babie lato: Zabawa jesienna w salach „starego teatru“ w Krakowie na dochód ubogiej młodzieży p. n. „Babie lato“; grupa amatorek przedstawiających uscenizowaną legendę.

ską, lecz śpiewał tylko po niemiecku — a więc w języku nie dozwalającym na gładką kantylenę i na mezzavoce, którego artysta jakby unikał, zastępując zręcznie pianami i półpianami. Miłąby zresztą było rzeczą usłyszeć w sercu Polski Słowianina, jakim jest p. Slezak, piejącego w rodzinnym języku. Stało to się niewątpliwie tylko przez nieuwagę, bo przecież o ojczystej muzie nie musiał zapomnieć artysta, wstępując do służby sztuki niemieckiej.

Obok śpiewaka popisywał się pianista wiedeński p. Dachs, w którego ręku spoczywał akompaniament. Jako akompaniator jest p. Dachs skończonym mistrzem. jako pianista, artystą zasługującym na uważne słuchanie i poważne traktowanie jego produkcyj.

W poniedziałek popisywał się w sali starego teatru kwartet smyczkowy z Wiednia pozostający pod artystycznem kierownictwem wybornego skrzypka prof. Tyberga. W koncercie wzięła udział wyborna pianistka p. Tyberg-Pattinger, tudzież kilku solistów opery wiedeńskiej, przy których współudziale wykonano „Septet“ Hummla, rzecz w Krakowie niewykonywaną. — *.urs.* —

Wyścigi kolarskie.

Staraniem oddziału kolarskiego Sokoła w Wieliczce odbyły się w niedzielę wyścigi cyklistów na szosie wielickiej.

Grupę ich uczestników a członków oddziału kolarzy Sokoła krakowskiego, z naczelnikiem Ebertem pośrodku, przedstawia nasza fotografia.

Krakowianie bowiem byli zwycięzcami: pp. Stadnicki (w biegach pojed. maszyn) oraz St. Rudy i Eug. Weiss (na tandemie).

Ci ostatni postawili rekord, przebywając przestrzeń 1 kilometra w 1 minucie 19 sekundach.

Miłe spotkanie po 25 latach.

(Do illustracyi na stronie 16).

Z inicyatywy p. Szczęsnego Hanusza, nauczyciela szkoły wydziałowej im. Mickiewicza w Stanisławowie, odbył się w ubiegłym tygodniu w tem mieście zjazd kolegów, którzy w r. 1881 w seminaryum nauczycielskiem w Stanisławowie, złożyli egzamin dojrzałości. Przybyło piętnastu kolegów, których nazwiska znajdzie Czytelnik pod fotografią zbiorową uczestników zjazdu. Po mszy św., którą odprawili dawni katecheci, ks. kan. Eiselt i ks. kan. Semenów, w gmachu seminaryum nauczycielskiego, powitał uczestników zjazdu obecny dyrektor tego zakładu p. Zubczewski, poczem przemówił wicemarszałek powiatu, ks. kan. Eiselt, który do łez rozczulił dawnych uczniów. Odpowiedział imieniem tychże Piotr Reichert, inspektor szkolny z Bóbrki. Z dawnych profesorów, prócz katechetów byli obecni pp. Korneli Czerwiński, obecny prof. seminaryum naucz. w Zaleszczykach i Grzegorz Nowicki, 75-letni staruszek, emeryt. Zmarłych, późniejszego dyrektora Mieczysława Baranowskiego i radcę dr. Jachnę, uczczono przez powstanie.

Nad Złoty Róg.

(Do portretu na str. 16).

Nad Złoty Róg powołano jako następcę hr. Calice, który w Konstantynopolu zastępował Austro-Węgry przez ćwierć wieku — margrabiego Jana Pallaviciniego. Nowy ambasador austro-węgierski nad Bosforem był dotąd posłem monarchii u dworu rumuńskiego w Bukareszcie. Urodzony w 1848 r., pracuje w służbie dyplomatycznej już przeszło 30 lat. Był zrazu *attaché* poselstwa w Berlinie, potem w Paryżu, Belgradzie, później radcą legacyjnym w Monachium, w Petersburgu, skąd powołano go do służby w ministerstwie spraw zagranicznych w Wiedniu. Przed ośmiu laty został posłem u dworu bukareszteńskiego, skąd teraz dopiero przenosi się na tak trudne stanowisko, jakiem jest urząd ambasadora w stolicy Turcyi. Margrabia, którego portret załączamy, uchodzi za tęgiego polityka i dyplomatę, na różnych posterunkach zagranicznych bowiem reprezentując monarchię Habsburską, miał dość czasu i sposobności w ciągu kilku dziesiątków lat służby dyplomatycznej nabrać doświadczenia. Tak przygotowany obejmuje margrabia Pallavicini spadek po hr. Calice, mistrzu w tej dziedzinie, a świetnym znawcy świata intryg polityki sułtańskiej. (Portret jego zamieściliśmy w poprzednim numerze).



Podróże szkolne: Grupa uczniów II. szkoły realnej w Krakowie, a uczestników 3-dniowej wycieczki do Oleska, Podhorzec, Sassowa i Przeworska.

Zajęcie perły Antylów.

(Do portretu na str. 17).

Najpiękniejsza z wysp Antylskich na wschodniem wybrzeżu Ameryki, słynna ze swych bogactw Kuba, była od kilku miesięcy widownią ustawicznych niepokojów i rozruchów. Codziennie staczano tam walki bratobójcze. Powstańcy, połączeni w silne oddziały, niszczyli ziemię ogniem i mieczem, walcząc przeważnie zwycięsko z milicyą krajową. Najważniejszą przyczyną powstania był prezydent Palma, którego wybór wywołał żywe niezadowolenie na całej wyspie.

W kwestyę tę wdał się prezydent Stanów Zjednoczonych Roosewelt, który zagroził interwencyą Stanów, gdyby Kuba nie zdobyła się sama na ukrócenie anarchii i porządku. Prezydent Palma, widząc niebezpieczeństwo, zwołał kongres. Opozycya w kongresie udziału nie brała, mimo to przebieg jego był dla Palmy niekorzystny. Jednakowoż kongres uchwalił zużyć na cele wojenne fundusze publiczne, pomnożyć także milicyę krajową i artyleryę.

Wówczas prezydent Roosewelt wysłał na Kubę ministra wojny Tafta i zastępcę ministra spraw zagranicznych, sekretarza stanu Bakona. Ale perswazye ich, poparte obecnością statków amerykańskich w portach, pozostały również bez skutku. A wtedy minister Taft, nie widząc innej rady, ogłosił się w imieniu Stanów Zjednoczonych gubernatorem wyspy, na skutek czego wylądowały natychmiast wojska amerykańskie, zajmując Kubę. Według urzędowych zapewnień, jest to ze strony rządu Stanów Zjedn. tylko prowizoryczna okupacya, a nie anneksya.



Wyścigi kolarzy: Oddział kolarski Sokoła krakowskiego, uczestniczący w wyścigu cyklistów w niedzielę na szosie wielickiej.

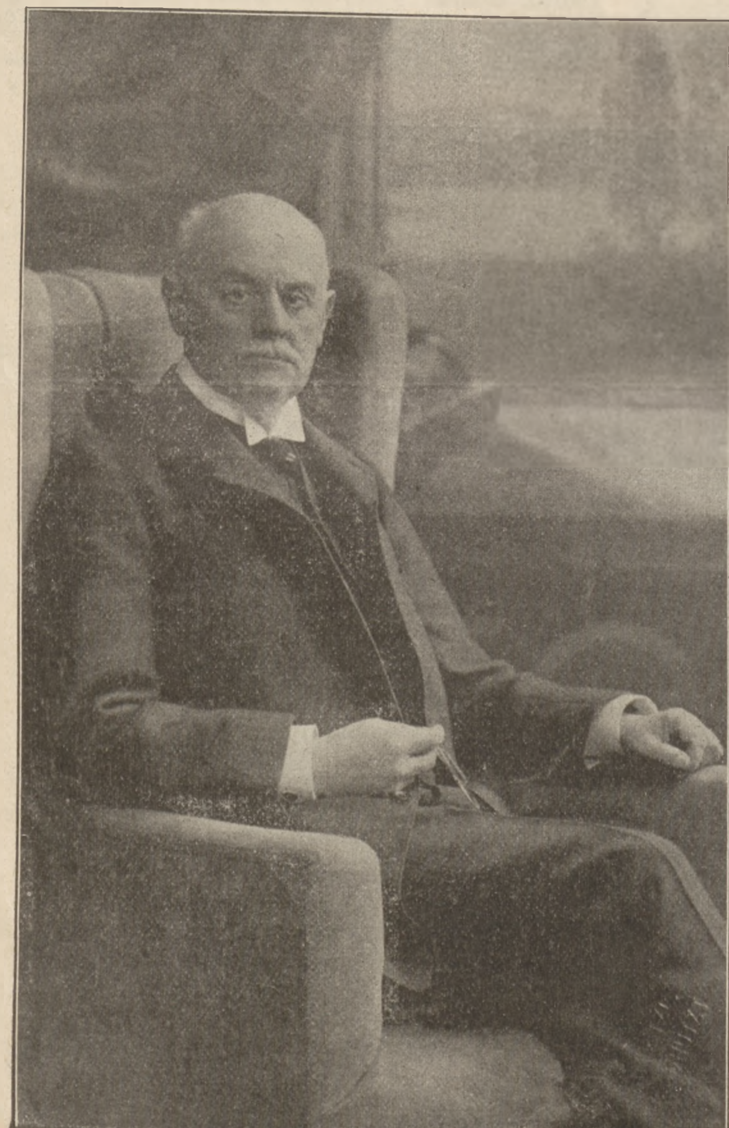
Lekarz japoński na studyach we Lwowie.

Nasze uniwersytety nie miały dotąd w swych murach gości z Japonii. Pierwszy taki wypadek zaszedł dopiero w ostatnich dniach. Oto do Lwowa na klinikę znakomitego chirurga dra Rydygiera, przybył w tych dniach dr Chutaro Tomita, starszy lekarz sztabowy armii japońskiej. Dra Tomitę odwiedził na klinice nasz korespondent lwowski. Uczony japoński, odziany w biały, szeroki fartuch, od którego tembardziej odbijała żółta cera jego twarzy, przyjął go bardzo uprzejmie i najchętniej udzielił informacyi o celu swej podróży i pobytu we Lwowie oraz dat ze swego życia. Pozwolił również na zrobienie dla nas zdjęcia fotograficznego. Jest to typowy Japończyk, niskiego wzrostu, krępej budowy ciała, o oczach żywych, czarnych i czarnym, rzadkim zaroście, cery żółtej.

Włada kilku językami, niemieckim nawet biegle, ale wymawia z angielska, więc nie dość wyraźnie. Liczy 37 lat. Urodził się w Kanasawa. Kształcił się w Tokio i tam ukończył medycynę. Po uzyskaniu stopnia doktorskiego, wstąpił p. Tomita do służby wojskowej jako lekarz-asystent. Było to w r. 1894, w tym właśnie czasie, gdy wybuchła wojna chińsko-japońska. Cały okres tej wojny spędził dr Tomita w lazarecie rezerwowym w Hiroshimie. Następnie przydzielony do kliniki profesora Scriby jako jego asystent spędził tam dwa lata. Kiedy wybuchły w Chinach rozruchy bokserów, mianowany lekarzem sztabowym, udał się do Hiroshimy, gdzie pełnił służbę przez 4 miesiące. Został odznaczony przez rząd japoński orderem Wschodzącego Słońca, rząd francuski zaś nadał mu order legii honorowej, dr Tomita opatrzył bowiem w czasie pobytu w Hiroshimie przeszło 300 żołnierzy francuskich, którzy zostali w czasie owych rozruchów zranieni. W roku 1898 dr Tomita udał się na praktykę do prywatnego szpitala w Ise, gdzie przebywał do wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej. Powołany napowrót do służby wojskowej, pracował przez cały czas wojny w chirurgicznym oddziele szpitala wojskowego w Nagoya. Po wojnie mianowany starszym lekarzem sztabowym, wnet został przeniesiony w stan spoczynku. Odtąd poświecił się dr Tomita wyłącznie pracy naukowej w zakresie chirurgii. Celem zaś uzupełnienia swych teoretycznych wiadomości i zebrania obszerniejszego materyału do pracy naukowej o gruźlicy ślepej kiszki, wybrał się na własny koszt do Europy. Od kwietnia do października tego roku bawił we Wiedniu na klinice chirurgicznej prof. Eiselsberga, następcy słynnego Billrotha. Z Wiednia przybył do Lwowa, gdzie zabawi zapewne kilka miesięcy, a potem uda się w dalszą podróż naukową do Wrocławia, Berlina, Bonnu.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret dr. Tomity, przedstawiający uczonego japońskiego w białym fartuchu, w jakim pracuje na klinice.



Nad Złoty Róg: Dotychczasowy poseł Austro-Węgier w Bukareszcie margrabia Jan Pallavicini, a następca hr. Calice na stanowisku ambasadora w Konstantynopolu



Krakowski tydzień operowy: Śpiewak opery wiedeńskiej Leon Slezak.



Miłe spotkanie po 25 latach: Zjazd maturzystów seminaryum naucz. w Stanisławowie z r. 1881; od lewej ku prawej licząc, siedzą pp. J. Burkhardt, K. Czerwiński, ks. J. Eiselt, dyr. J. Zubczewski, ks. M. Semenow, G. Nowicki, S. Krzywda, E. Bilinkiewicz; stoją: K. Markowski, Sz. Hanusz, P. Reichert, P. Hryniowski, W. Balicki, kapitan K. Amirowicz, A. Czyżowski, J. Kocko, J. Szymański, M. Hołowczak. J. Czerniawski, T. Steliga.

Lwowianie są dumni z zaszczytu, jaki na stolicę Galicyi spadł w ten sposób. Natomiast na uniwersytetach w zachodniej Europie, nierzadko spotyka się młodych Japończyków, którzy dla studyów lub ich uzupełnienia, rzucają swą piękną ojczyznę i ruszają daleko na zachód, by tam szukać wiedzy, by z całem oddaniem się i poświęceniem pracować naukowo, a następnie po powrocie do Japonii, dążyć do podniesienia na jeszcze wyższy poziom ojczystej nauki.

Z lwowskiego bruku.

(Zamiast fejletonu. — Z czegoś nic i z niczego coś. — Z lwowskiego korsa. — Obserwator posagów i jego zasady. — Mądry ojciec a myśliwiec posagowy. — Historya pewnej księżniczki. — Rada dla pań w nagrodę za cierpliwość).

U nas w tej chwili tak bardzo nic się nie dzieje, że, ażeby z tego nic ukuć korespondencyę, trzeba być mistrzem blagi, płodnym twórcą tema-



Fot. dla „Now. Ill. M. Münz, Lwów.
Lekarz japoński na studyach we Lwowie: Starszy lekarz sztabowy armii japońskiej, dr. Chutaro Tomida, studentem na klinice dr. Rydygiera we Lwowie.

tów, poetą, romansopisarzem, bajkopisem, legendziarzem, jednem słowem, galicyjskim dziennikarzem, którego zadaniem jest równie gładko robić z niczego coś, jak z czegoś nic.

Ponieważ — zdaniem moich ciotek — należę do tych ludzi, którzy potrafią z czegoś robić nic, ale tylko wtedy, jeżeli chodzi o szybkie załatwienie się z odziedziczonym spadkiem, lub zarobionym groszem, to wątpię, czy Szanowni Czytelnicy, będą łaskawi wysłuchać mnie do końca i dlatego z góry rezygnując z ich towarzystwa, zwracam się z całem zaufaniem do pięknych Czytelniczek, co do których jestem pewny, że już z prostej wrodzonej ciekawości, wytrwają do końca, ażeby przecież przekonać się, jak to się po dziennikarsku robi z niczego coś, a z czegoś nic.

A skoro już jesteśmy sam na sam, „wir Mädchen unter uns“, możemy ze sobą pomówić spokojnie, bez żenady i wywnętrzyć się przed sobą, ot, jak dwie młode panienki, kiedy się zejdą ze sobą razem i siadają o szarej godzince w kąciku, na miękkiej sofce i szuszkają, szuszkają, aż wybuchną naraz jasnym śmiechem, takim prawdziwie słodkim, panieńskim...

* * *

Wiadomo paniom, że mamy we Lwowie piękne, a nawet bardzo piękne kobiety. Przyjeżdżają do nas ludzie z całego świata i powiadają, że nigdzie nie widać rązem tyle pieknych kobiet, ile we Lwowie. Może to tylko komplement z grzeczności, ale, że Lwów ma dużo pięknych wcale buziaków, o tem wie każdy, kto choćby raz był we Lwowie i przeszedł się spacerkiem po t. zw. „corsie“ o godz. 12 w południe, albo między 6-tą a 8 mą wieczorem. To lwowskie „corso“ opisywano już tyle razy i tak rozmaicie, że o szczegółowy opis ani się nie kuszę. Chciałbym jednak nakreślić parę szczególików, których nie wyczytałem w żadnym z rzeczonych opisów. Pisano, że spacerowicze mają smutne twarze, kto inny zauważył, że mają wesołe twarze, jeszcze inny powiedział, że miny lwowskich spacerowiczów widzi każdy stosownie do swego usposobienia. To wszystko może być prawdą i ja tego wcale nie kwestyonuję. Ale nikt nam nie powiedział, że po minach wszystkich panien, można dokładnie poznać, jaki mają posag, a po minach mężatek, jaki posag wniosły swemu mężowi. Mówił mi o tem mój znajomy dr. Z., który na punkcie posagu, raczej węszenia za posagiem ma wprost fenomenalny nos i dzięki temu dotąd jest kawalerem.

— Widzi pan — zaczął dr Z. swój wykład — z dzisiejszymi posagami to jest tak, jak z rozumem. Każdy, choćby najgłupszy człowiek jest przekonanym i głośno twierdzi, że ma rozum. Gdy panu opowiada jakąś historyę, to na końcu puka się w czoło i pyta: No, panie, kto ma rozum? I zaraz sam sobie odpowiada: Ja! Tak samo z właścicielami córek na wydaniu. Każdy twierdzi, że ma dla córki posag, to samo twierdzi matka i na to samo dumną jest córka, a jak przyjdzie do wyliczenia, to figa. I każda panna, posażna, czy nieposażna, ma zawsze swój powód, aby na swoje zamęście być słusznie dumną. Miała posag, to powiada, że nie wkradła się w łaskę męża, nie wyszła za mąż z litości, ale stanęła przed ołtarzem z mężem jako równa z równym. Nie miała posagu, to powiada, że mąż ją wziął, a nie jej pieniądze, że to jest prawdziwa partya z miłości. Najsmutniejsze, widzi pan, w tem wszystkiem, że w jednym i w drugim przypadku, mąż właściwie dostaje figę, tylko jest ta różnica, że w pierwszym wypadku obiecują i nie dają, a w drugim nie obiecują. To już wolę to drugie.

— A czemuż szanowny doktor się nie żeni?

— Bo ja, widzi pan, chcę żenić się z miłości.

Tak mówił doktor, a ja mu nie wierzę i radzę kochanym Czytelniczkom, by mu także nie wierzyły. Tak samo nie wierzę, by z miny panny można poznać, jaki ma posag. A teraz mały przykład z bruku lwowskiego.

* * *

Dr S. był także spekulantem na posag i wdepnął w rodzinę, po której spodziewał się grubego posagu. Istotnie w dniu zaręczyn zdeponował mu stary książeczkę galicyjskiej Kasy oszczędności na 50 000 kor. To się nazywa przyzwoity posag. Książeczkę zdeponowano w kantorze *** na nazwiska obojga narzeczonych. Jedno bez drugiego nie mogło jej podjąć — dopiero w sześć tygodni po ślubie miał ją kantor wydać obojgu małżonkom. I zaczęła się miłość płomienna, która oboje zaprowadziła w bardzo krótkim czasie przed ołtarz. Właśnie przedwczoraj minął szósty tydzień po ślubie — i oboje zgłosili się w kantorze po książeczkę kasową. Wydano im za potwierdzeniem, poczem mąż, młody mąż, zaproponował swojej ubóstwianej żonie, że dobrze byłoby wybrać na książeczkę 1.000 koron na... podróż poślubną. Napróżno żona nalegała, aby tego zaniechał, bo szkoda pieniędzy, lepiej będzie kupić potem kamieniczkę. Ale mąż wytłómaczył jej, że zostanie na kamienicę jeszcze 49.000 koron i — poszedł. W kasie chciano go przyaresztować, ale po wyjaśnieniu wszystkiego puszczono go na wolność w objęcia ukochanej żony.

Czemu chciano go aresztować? Ano, bo już



Zajęcie „perły Antylów“: Minister wojny Stanów Zjednoczonych, Taft, prowizoryczny gubernator Kuby. (Do artykułu na str. 15).

bardzo dawno wybrano pieniądze na duplikat książeczki, udając, że tamta się zgubiła...

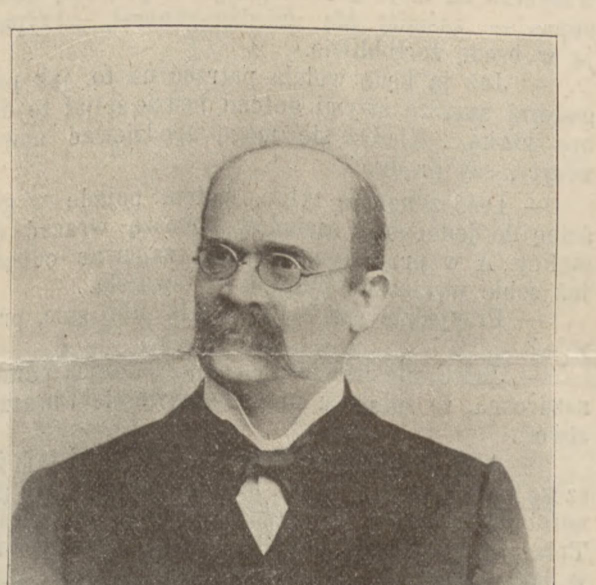
* * *

Moje panie! Ponieważ — jak mówiłem — jesteśmy sam na sam i nie ma tu mężczyzn, przeto radzę wam pójść w ślady mądrego ojca, którego figiel dopiero co opisałem w skróceniu. Recepta bardzo prosta. Jeśli nie macie posagu, to zróbcie go sobie. Bierze się u dobrego znajomego, u którego leżą pieniądze odłogiem, paręnaście tysięcy, wkłada się je na książeczkę, nazajutrz zgłasza się w kasie, że książeczka nieszczęśliwym trafem się spaliła i dostaje się drugą. Na tę drugą wybiera się po pewnym czasie pieniądze, zwraca się je przyjacielowi, a pierwszą książeczkę, tę niby spaloną, trzyma się jako... posag...

Z tej bajki nie bajki, bo zdarzyła się istotnie w tym tygodniu we Lwowie, płynie nie tylko nauka dla pań, jak mają urządzać konkurentów polujących na posag, ale i dla panów, ażeby otrzymawszy książeczkę, szli zawczasu do kasy przekonać się, czy nie jest zamortyzowaną. Możemy o tem mówić, bo tu nie ma panów. A panie otrzymały tę poradę w nagrodę za — cierpliwość. Jeśli się rzecz uda, to proszę mi napisać. List przeczytam w towarzystwie damskiem.



Z ostatniej chwili.



Spadkobierca Jana Rottera: Wybrany w środę w Krakowie w miejsce ś. p. Rottera posłem do Rady państwa prof. Tomasz Sołtysik, dyrektor III. gimnazyum i radca miejski.

Z OSTATNIEJ CHWILI.

Spadkobierca Jana Rottera.

W chwili, gdy numer niniejszy zamykamy, obywatele Krakowa oddają mandat poselski po śp. Rotterze w ręce godnego kandydata na jego następcę. Opróżniony przez śmierć przedwczesną tego nieodżałowanego bojownika idei demokratycznej, posterunek posła krakowskiego do wiedeńskiej Rady państwa, zajmie członek tego samego stronnictwa, również szczery demokrata, acz na polu polityki krajowej jeszcze nieznany — i również pedagog z zawodu, dyrektor gimnazyalny, Tomasz Sołtysik. Wybór jego nie obudził w mieście namiętności, często występujących u nas z okazyi wyborów i odbył się niemal cicho, ponieważ przeciwnicy nie wysuwali innego kandydata.

„Mateczka"

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

27 (Ciąg dalszy).

Felicya wiedziała, że żyd nie miał naprawdę obaw podobnych, gdyż musiał rozumieć, iż generał nie byłby kupował do swych piwnic innych napojów, jak tylko najprzedniejszych gatunków.

Nie uważała tedy za stosowne perswadować mu cokolwiek na ten temat. Domyśliła się pobudek, dla których Moszko, targując się z nią, wynajduje słabe strony interesu.

Ale jednocześnie wiedziała, że ten żyd posiadał jej tajemnicę i że teraz ona musi się z nim liczyć.

Zgodziła się więc na jego warunki.

Handel w Smoleńsku miał być otwarty do spółki, a z zysków mieli w przyszłości dzielić się po połowie. Musiała ona poprzestać tutaj na roli cichej spólniczki i tylko co pewien czas doglądać swej własności.

Zdawała sobie sprawę z tego, że traci wiele, ale sobie rozważyła, że i tak bez pomocy Moszka nie dałaby sobie rady z tym fantem.

Zależało zaś na pośpiechu, więc nawet umowy ze sobą żadnej na miejscu nie spisywali i w tym celu miała ona rychło przyjechać umyślnie do Smoleńska, a tymczasem, póki noc, zajęli się ekspedycyą towaru.

Przyznała się Moszkowi, że przed wieczorem spiła całą służbę w pałacu, wobec czego spali wszyscy i nie było obawy, żeby ich robota mogła kogo zbudzić.

Nikicie jednemu musiałaby się wydać podejrzaną sprawa potajemnego wywozu całej zawartości piwnicy. Ale znaleziono na to sposób. Na razie oprócz rubla, danego furmanowi po przyjeździe, wręczyła mu w czasie transportowania beczek na wóz, złoty imperyał za milczenie.

Następnie zniewoliła Moszka do tego, by zatrzymał go u siebie w handlu, jako zaufanego parobka, do czasu, gdy go się w odpowiedni sposób nie pozbędzie. W żadnym razie bowiem Nikita nie mógł po tem wszystkiem, co zaszło, a czego on był jedynym świadkiem, wracać do pałacu generała.

Służba miała się dowiedzieć, że Nikita został z miejsca przez nową gospodynię oddalony.

Tak się też stało.

Felicya pokierowała całą sprawą tak zręcznie, że w istocie nikt się nie spostrzegł na jej machinacyach.

* * *

Nazajutrz pojechała do Smoleńska, gdzie zabawiła kilka dni. Przez ten czas była z wizytą u różnych dygnitarzy miejscowych dla przeprowadzenia wszelkich formalności, jakich jej wspólnik potrzebował przed założeniem w mieście interesu handlowego.

Felicya polecała gorąco różnym wpływowym osobom nietylko Moszka, jako swego zaufanego, ale także nowopowstającą winiarnię.

— Osobiście jestem w tem zainteresowaną — mówiła każdemu z przyjemnym uśmieszkiem — więc proszę nie zapominać o nowym handlu i drugim go rekomendować....

Kiedy po podpisaniu umowy rejentalnej, odjeżdżała z powrotem, sklep Moszka Kaliskiego, (tak się dawny faktor, a nowy kupiec, nazywał teraz) był już otwarty. Znajdował się w punkcie dobrym, a urządzono go w sklepie, który świeżo został zwinięty po kilkunastu latach istnienia.

A tymczasem do piwnic w pałacu generała G... nadszedł wkrótce transport nowy win tym razem z Odessy. Odebrała go w porządku pani Felicya i bardzo szczegółowo obejrzała.

Połowę wybrała sobie i odstawiła na bok.

— To także pójdzie do Smoleńska — szepnęła do siebie z zadowoleniem.

Ale zbyt była zręczną, żeby zaraz z piwnic usunąć to wszystko, co przeznaczyła dla zaopatrzenia własnego magazynu w Smoleńsku. Przedewszystkiem zależało gospodyni na tem, by sam generał zobaczył osobiście w piwnicach, co nadeszło z Odessy.

A właśnie w kilka dni później dziedzic przyjechał z Petersburga do swego majątku.

* * *

Nowa rezydentka podobała mu się. Już w godzinę po przyjeździe sam jej to oświadczył:

— Przypadłaś mi pani do gustu.... Dobrze się stało, że tamta małpa uciekła z Iwanem...

— Ale też się bestya obłowiła u pana generała... Nie pojmuję tylko, jak ona potrafiła zabrać ze sobą tyle win, miodów.... beczki całe powywoziła i nikt w domu nie wiedział o niczem....

— Wiedziała co brać — zawołał Piotr Aleksandrowicz, nie tracąc humoru — bo to pani nawet nie wiesz, co tam za pyszne gatunki były właśnie w piwnicach....

— Domyślam się w każdym razie, że pan generał złych nie byłby sprowadzał....

— Nie to — machnął dziedzic ręką — ale mi się taka okazya trafiła, jakiej drugiej nie będzie... Co tam za marki były, ho... ho... takich win to tylko w samym Petersburgu dostanie i to zaledwie w paru handlach....

— A to złodziejka dopiero, żeby tak pana generała obrabować z takich skarbów...

— Nie ma o czem gadać. Będzie mi się zdawało, że goście przyjechali całą gromadą i wypili wszystko. Niech im będzie na zdrowie!

Roześmieli się oboje, a z tej chwili skorzystała Felicya, żeby go zaprowadzić do piwnic.

Generał tam sprawdził, że cały transport zamówiony odstawiono na miejsce w porządku i polecił nowe zapasy opiece Felicyi.

— Sama możesz sobie pani wypić wszystko, to, ci wolno.... Za to przecież nudzisz się tu w przeklętej wsi, deskami od świata zabita, żebyś sobie mogła używać do woli... Idzie mi tylko o to, żeby takich przednich trunków nie wypijała hołota z pomiędzy służby, bo to bestyjstwo nie ma podniebienia i nawet na trzeźwo nie pozna się na dobroci napoju....

— A tożby dopiero ładnie było, gdybym ja tak na prawdę wypijała odtąd co najlepsze, a potem przyjechaliby goście do pałacu i w piwnicach nie byłoby wina....

— To mi dasz znać, moja panno, żeś wypiła wszystko za moje zdrowie, a ja ci przyszlę nowy zapas — zaśmiał się dziedzic-generał, szczypiąc ją w brodę żartobliwie.

— Już ja będę wolała patrzeć na to, jak pan generał sam ze swymi gośćmi będzie spijał te dobre winka.... Kiedyż się mogę spodziewać nowej wizyty, czy prędko?

— Dziś zanocuję tylko, potem pojadę w gościnę do jednego z sąsiadów i muszę wracać do stolicy. A w przyszłym miesiącu zapewne odbędę już sobie wycieczkę przyjemną i wesołą....

— Przyjedzie pan tutaj? Ale nie sam, prawda?

— Jeżeli nie będziesz o mnie, moja panno, zazdrosna, to sobie tu przywiozę wesołe towarzystwo....

— Ależ chciałabym i co tydzień, bo tutaj jeszcze tak smutno i pusto, nudno.... Mógłby pan generał rzeczywiście przyjeżdżać częściej na wieś.... Tutaj może się pan dziedzic zabawić swobodnie w jak najliczniejszem gronie, użyć sobie wesoło...

— Ale skoro nie ma tego licznego i wesołego grona, to musimy zabawić się samotnie.... Ja już głodny jestem.... Każcie podawać do stołu..... A niech Wasyl przyniesie trzy butelki tego wina — dodał, wskazując koszyk ręką na odchodnem z piwnicy.

. . . .

Właśnie ten sam gatunek wina wybrała Felicya dla swego magazynu w Smoleńsku i kilkanaście butelek tej marki już na bok odstawiła dla siebie.

A nalegała tak na generała, żeby jak najczęściej przyjeżdżał na wieś i jak najwięcej gości z sobą przywoził — nie bez powodu.

Jej bowiem na tem wiele zależało z tych względów, że pragnęła stale zaopatrywać sklep Moszka w nowy, a wyborowy towar, inaczej zaś nie byłoby się udawało opróżniać piwnic, jak tylko tym sposobem. Oto im większa byłaby zabawa w pałacu, im bardziej by się goście popili, tem łatwiej można byłoby wmówić w generała w razie czego, że za jednym zamachem zużyło się tyle a tyle zapasów piwnicznych, gdy tymczasem w istocie wypito zaledwie trzecią część tego.

A z takiej okazyi korzystając, mogła Felicya podzielić się z generałem, dwie trzecie na bok odkładając dla wysłania ich do Smoleńska. Ktożby tam bowiem po pijanu zoryentował się, czy jakiego wina wypito dwadzieścia czy sześćdziesiąt butelek...

Zależało tylko na tem jeszcze, by każdorazowa pijatyka trwała możliwie jak najdłużej i do zupełnej utraty przytomności uczestników. To jedno, a po drugie, żeby tych gości bywało jak najwięcej, oraz żeby generał z nimi przyjeżdżał jak najczęściej.

Ułożyła się ona pocichu z Moszkiem, że co najdroższe gatunki trunków w razie najazdu gości mają pajawiać się na stole w pierwszej chwili, poczem mogłyby być tylko butelki te same, ale już wina coraz to gorsze.

Jakim to sposobem się działo, to już była rzecz Moszka Kaliskiego, który zręcznie potrafił napełniać butelki po winach najlepszej marki — trunkiem lichym.... Tą drogą udało się Felicyi rychło z piwnic generalskich zabrać najwięcej win drogich.

. . . .

Ranek wdzierał się smugami białego światła przez okna, do pokoju, pełnego żółtych blasków od lamp, gdy generał nalawszy sobie likieru do czarnej kawy, ziewnął.

— A kiedy ja się wyśpię? Miałem jeszcze pojechać w sąsiedztwo na wizytę...

— Ee, co tam wizyta... Zostańcie jeszcze, Piotrze Aleksandrowiczu, przez ten dzień ze mną... Tak będzie tutaj nudno po waszym odjeździe...

Nuda... Sama Felicya niechcąco podsunęła mu ten wyraz. A wszakże i on się tutaj nudził z nią we dwójkę, przywykł bowiem do zabawy w liczniejszem towarzystwie. Felicya nie mogła, mimo różnorodnych wysiłków ze swej strony, zastąpić mu wesołego grona baletnic lub cyrkówek, w jakiem jak najchętniej przebywał w ostatnich czasach.

Jego nowa rezydentka podobała mu się wprawdzie i przez kilka pierwszych godzin bawiła go jeszcze. Ale już na schyłku nocy zaczynał dziedzic nudzić się przy niej i ziewał coraz częściej.

Kiedy mu się wreszcie oczy kleić poczęły i Felicya spostrzegła, że generał zaraz zaśnie, starała go się jeszcze na chwilę rozbudzić. Wlała mu w usta trochę gorącego ponczu, poczem dziedzic oczy otworzył szeroko i sięgnął po cygaro.

— Wielką mam prośbę do was, Piotrze Aleksandrowiczu, nie odmówicie mi?

— Tam na komodzie leży mój portfel.. Weź sobie ile chcesz...

— Ja nie o pieniądze miałam was prosić... Mam kuzyna agronomem, młody chłopak, potrzebuje praktyki w jakimś większym majątku... kształcił się w pruskich szkołach. Teraz miałby ochotę trochę praktykować w Rosyi...

— Dobrze, dobrze. Sprowadź go tutaj jako eleva agronomicznego... niech sobie u mnie praktykuje... A ładny chłopiec, zdrów, co?

— Ee, kiedy bo wy mnie, Piotrze Aleksandrowiczu, podejrzewacie...

— Uchowaj Boże, tylko tak sądziłem, że ci tu na wsi nudno...

— To bratanek, słowo daję.

— A niechby był kochanek... u mnie przecież niema niewoli, możesz robić, co ci się tylko podoba... Ani ja o niego nie byłbym zazdrosny... Kiedy zresztą powiadasz, że to kuzyn, niech będzie... Owszem, przyda się w gospodarstwie młody agronom, sprowadź go zaraz...

— Bardzo wam wdzięczną będę, Piotrze Aleksandrowiczu. Zawsze będzie mi przyjemniej mieć tu przy sobie kogoś z rodziny, aniżeli tak wśród samych obcych... Ale będziecie wy częściej na wieś przyjeżdżali, prawda?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Od Redakcyi.

W czwartym kwartale, oprócz sensacyjnych powieści, drukowanych obecnie w „Now. Illustr.“, zaczniemy wkrótce druk niezwykle zajmującej, wyłącznie dla nas pisanej pracy wielce poczytnego powieściopisarza

Artura Gruszeckiego.

Pamiętny Czytelnikom naszym autor „Bojowników“, osnuł najnowszą swoją powieść na **tle rozgłośnych pogromów żydowskich** w miastach państwa rosyjskiego.

Znany powieściopisarz-publicysta na nasze zaproszenie, odbył umyślne studya na miejscu w Białymstoku i innych miastach, nawiedzonych klęską pogromów, dzieło jego będzie więc miało wartość dokumentu historycznego.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożyła H. Mokrzycka, Drohobycz.

I.

Drugie trzecie ziele znane,
Przez dziewczęta hodowane;
Człek dzielny *pierwsze-trzecie*,
O kim mowa — chyba wiecie,
Człowiek z burskiej wojny znany,
Jako wódz niepokonany.
Całość — zły duch, pilnie strzeże
Łęczyckiego zamku wieże.

II.

Trzecia i piąta dla Turka droga,
Piąta czwarta, to ludzie bez serca i Boga.
Druga wspak miasto, już z historyi znane,
Przez Fenicyan zbudowane.
Pierwsza — litera, odgadnąć nie sztuka,
A co jest *całość*? Całość to nauka.

III.

Pierwszy nieraz jest zalany,
Czwarty bywa zwoływany,
Drugą poznać, to nie troska,
Bo to jest skromna spółgłoska.
Całość zaś, to jest machina,
Co morskie fale przerzyna.

IV.

Całość — to są piękne kwiaty,
Kolor w odcienia bogaty.
Trzecia i piąta na twarzy człowieka,
Pierwsza w abecadle czeka.
Czwarta piąta to zwierzęta,
Są fałszywe, jak dziewczęta.
Wspak druga — to znów litera,
Na ostatek zostawiona —
Bo nic w sobie nie zawiera —
I szarada już skończona.

Logogryf.

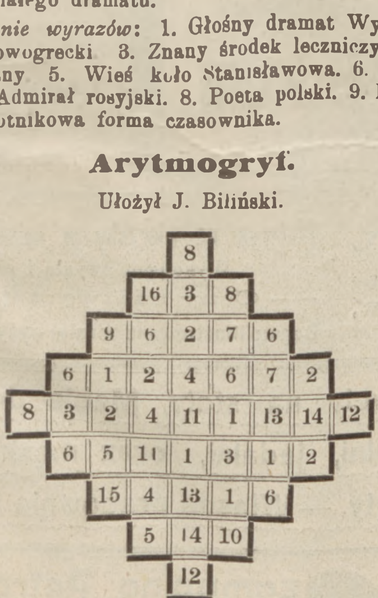
Ułożył J. Biliński, Żywiec.

Ze zgłosek: a, bo, cy, e, ga, gen, i je, ka, kie, la, lan, le, mie, mo, mu, na, nie, per, pol, psy, ro, sa, san, se, słów, so, szu, ta, ti, to, tow, ty, we, wicz, zu, y — ułożyć 10 wyrazów, których litery początkowe utworzą nazwisko najgłośniejszego współczesnego poety polskiego, a końcowe tytuł jego wspaniałego dramatu.

Znaczenie wyrazów: 1. Głośny dramat Wyspiańskiego. 2. Wódz nowogrecki. 3. Znany środek leczniczy. 4. Termin matematyczny. 5. Wieś koło Stanisławowa. 6. Termin muzyczny. 7. Admirał rosyjski. 8. Poeta polski. 9. Imię męskie. 10. Przymiotnikowa forma czasownika.

Arytmogryf.

Ułożył J. Biliński.

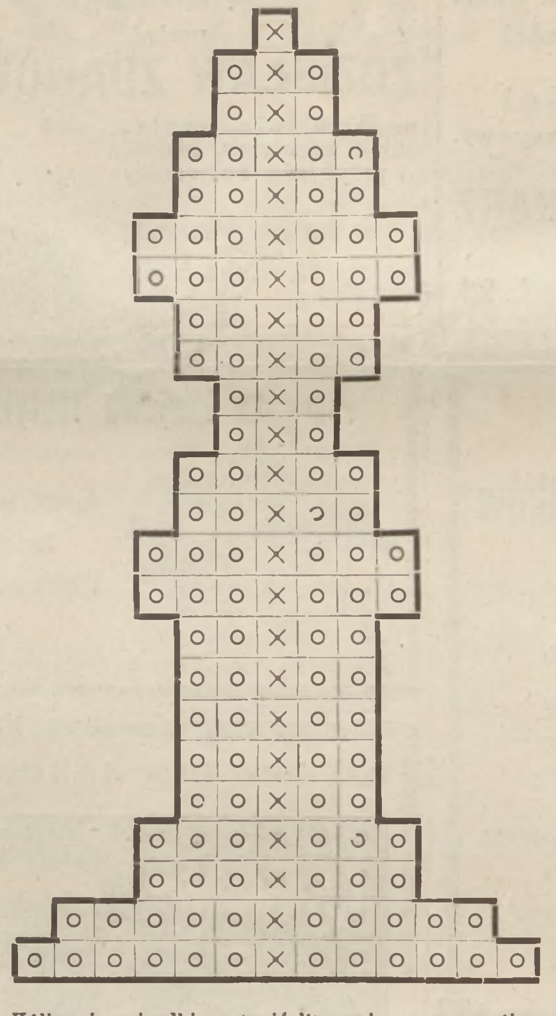


W miejsce cyfr, wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, w pionowym i poziomym czytane kierunku, utworzyły nazwisko jednej z najbardziej ciekawych postaci w powieściach Sienkiewicza.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Narzędzie gospodarskie do młócenia. 3. To, co zakrywa dziury. 4. Czas między spuszczeniem a podniesieniem kurtyny. 5. ? 6. Człowiek, płacący za prenumeratę pisma. 7. Rzeka na półwyspie bałkańskim. 8. Rzeka w Galicyi. 9. Spółgłoska.

Zagadka.

Ułożył A. Rotter, Stanisławów.

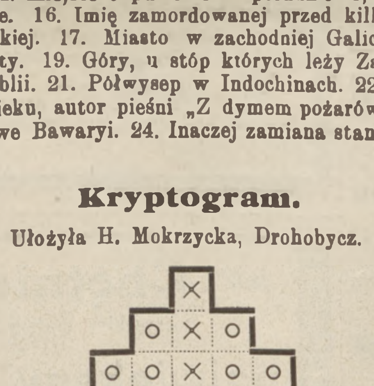


Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły imię, przydomek i nazwisko znakomitego współczesnego poety polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka, po Wiśle największa w Galicyi 3. To, co płynie z oczu podczas płaczu. 4 Największe państwo w Azyi, zwane państwem środka. 5. Najstarszy poeta grecki, autor Iljady. 6. Część Polski, przyłączona do Austryi. 7. Miasto we Włoszech, osobliwe tem, że niema ulic. 8 Cesarstwo w Azyi wschodniej. 9. Miasto w Rosyi. 10. Wulkan na jednej z wysp Filipińskich. 11. Inaczej przeciąg czasu, epoka. 12. Prześlicznie położone miasto na Rivierze francuskiej. 13, Ryba, w naszych rzekach pospolita. 14. Miejsce odpustowe w południowej Francyi. 15. Imię żeńskie. 16. Imię zamordowanej przed kilku laty królowej serbskiej. 17. Miasto w zachodniej Galicyi. 18. Ten, co robi buty. 19. Góry, u stóp których leży Zakopane, 20. Postać z biblii. 21. Półwysep w Indochinach. 22. Poeta polski XIX wieku, autor pieśni „Z dymem pożarów“. 23. Miejsce kąpielowe Bawaryi. 24. Inaczej zamiana stanu zakonnego na świecki.

Kryptogram.

Ułożyła H. Mokrzycka, Drohobycz.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby litery, czytane w pionowym i poziomyk kierunku, utworzyły nazwisko śpiewaczki opery lwowskiej.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ptak, umiejący pięknie gwizdać. 3 Miasto w Galicyi. 4. Mięczaki morskie, ulubiony przysmak niektórych smakoszów. 5. ? 6. Zdrobniałe imię żeńskie 7. Imię męskie, znane z „Pana Tadeusza“. 8 Miara gruntu. 9. Samogłoska.

Za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznacza Redakcya jako nagrodę wspaniały tort orzechowy z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 40.

Szarady.

I. Propinacya. II. Makata.

Zagadka.

D, P**a**c, Sy**n**aj, tul**i**pan, Magd**e**burg, Gor**l**ice, re**m**iz, s**i**n, **k**, n**o**c, Wo**ł**ga, Mal**a**kka, Jan i **J**ózef, Sośni**c**owice, Jan Wy**ch**owski, Tarn**o**wscy, Fir**d**usi, Tr**o**ja, E**w**a, Ur**i**el Min**e**rwa, koni**c**zyna, Rzepa**k**owiec, Zalesk**i** Bohdan.

Daniel Mikołaj Chodowiecki.

Kryptogryf.

P, E**o**l, ka**w**ka, Pow**ą**zki, uc**z**ta, a**k**r, **i**.

Powązki.

Łamigłówka.

T, l**e**n. ga**l**ar, mat**e**rac, ku**f**er, l**o**s, **n**.

Telefon.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: K. Fuchs, Peczeniżyn, A. Fink Komorniki, A. Rotter Stanisławów, Siła Nowiccy Lwów, B. Ramułtowa Jeżów, K. Szpunar Lwów, R. Sabat Lwów, Z. Sabatówna Lwów, M. Pfeiffer Przemyśl, J. Haładej Górki, Z. Klukowski Stryj, A. St. Bassara Niwiska, dr. St. Warmski Turka, T. Domain Sanok, J. Badura Rożdzień, H. Mokrzycka Drohobycz, Al. Bocsoń Bóbrka, E. Bogdalska Koropuż, H. Zielińska Manajów, K. Jurkiewicz Tłumacz, St. Łaszkiewicz Dębica, Tow. „Zgoda“ Krosno, K. Chodkiewicz Zbydniów, Fr. Niepokój Krosno, M. Świetlikowa Rzeszów, H. Karatnicka Nadwórna, M. Cetera Dubiecko, L. Ulrych Ulanów.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, otrzymał przez losowanie p. **Zygmunt Klukowski w Stryju.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

W sądzie.

— Jak pan mogłeś nazwać tego pana cielęciem?

— Proszę pana sędziego — dzisiaj, w tych czasach, gdy cielęcina taka droga, to przecież to nie może być obrazą chyba?...

Przytomny.

Wujaszek: Ja to miałem zęby w mojej młodości! dziesięciohalerzówkę przegryzałem przednimi zębami jak nic!

Siostrzeniec: Dajno wujaszek pokój! przecie za owych czasów jeszcze nie było wcale dziesięciohalerzówek.

Wujaszek: Cóż z tego? to przegryzałem czworaka i centa!

Ciężka robota.

Sędzia: Więc pan tak długo tłukłeś po głowie skarżącego, aż mu ją wreszcie rozbiłeś?

Oskarżony: Tak! trwało to z jakie pół kwadransa.. Gdybym był przewidział, że mi zada tyle pracy, byłbym się nawet nie zabierał do tego!

Kto najmądrzejszy.

Umarł jakiś bogaty dziwak i w ten sposób rozporządził swoim spadkiem: „Należy zwołać po jednym reprezentancie trzech wyznań, katolickiego, ewangielickiego i mojżeszowego i każdy z tych trzech reprezentantów ma włożyć po mojej śmierci do mojej trumny trzysta koron. Który z nich uczyni to w sposób najmądrzejszy, ten będzie moim uniwersalnym spadkobiercą“. Zwołano trzech: katolika, protestanta i żyda. Katolik zaniósł do grobu bogatego dziwaka 300 kor. w złocie i był pewnym, że weźmie spadek. Protestant włożył do trumny 300 kor. w procentujących się papierach wartościowych (pupilarnych), i był pewny, że weźmie spadek, bo nie ma chyba mądrzejszego sposobu. Żyd zabrał z trumny leżące tam 600 kor. w złocie i papierach, a natomiast włożył tam weksel na 900 kor. (600 kor. za tych dwóch a 300 za siebie) no — i on wziął spadek.

Myśli.

Smutne jest, gdy kobieta spostrzeże, że się starzeje — ale smutniejsze, gdy tego nie spostrzega.

* * *

Jak ja nieraz długo myślę i nic nie wymyślę, to ja sobie potem myślę, na co ja miał tyle myśleć, aby nic nie wymyślić, kiedy ja mogłem nic nie myśleć i byłbym także to samo wymyślił.

Jedynym istniejącym prawdziwym środkiem piękności jest

„Haya“ Krem piękności



który usuwa piegi, plamy wątrobiane, pryszcze, wągry i t. p., nadaje przytem twarzy świeży, młodociany wygląd.

Zupełnie nieszkodliwy. — Słoik 1 kor.

Do tego **Mydło piękności** sztuka 1 korona.

Puder piękności

pudełko 1 kor., biały, różowy i kremowy.

S. HAY APTEKARZ

c. k. dostawca nadworny

Lwów, ulica Kazimierzowska L. 26.

Wyłączna sprzedaż na Kraków i zachodnią Galicyę

Słynnego obuwia amerykańskiego

z fabryki

Florsheim & Company

w Chicago

posiada

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

magazyn galanteryjny, skład kapeluszy, bielizny i przyborów do podróży

w Krakowie,

ul. Sławkowska L. 3/a,

Hotel Saski Tel. 516.



Magazyn i pracownia

FUTER

Franciszka Folg

Lwów, ul. Sobieskiego 2.

Poleca obficie zaopatrzony skład futer męskich i damskich różnej jakości, oraz kołnierzy, zarękawków, czapek damskich. — Wszelkie zamówienia uskuteczniam się jak najdokładniej i w jak najkrótszym czasie.

Ceny umiarkowane!



Tanie

Czeskie Pierze

5 kilo: świeżo darte K 9·60, lepsze K. 12, białe bardzo miękkie darte K. 18, 24, śnieżnej białości b. miękkie darte K. 30, 36. Wszystko opłatnie za zaliczką.

Zmiana lub zwrot po zapłaceniu porta dozwolony!

Benedykt Sachsel, Lobes 265

Poczta Pilzno, Czechy.

Krakowski oddział

Towarzystwa prawnej ochrony podatników

ul. Grodzka L. 35, II piętro

1. udziela bezpłatnej dorady prawnej we wszystkich sprawach skarbowych
2. wygotowuje wszelkie pisma w postępowaniu wymiarowem i rekursowem
3. zbiera materyały do interpelacyj dla Panów Posłów w Sejmie i Radzie Państwa
4. urządza w październiku i listopadzie b. r. każdego

poniedziałku i czwartku od godz. 7½ do 8½ wieczorem

w sali Stow. kupców i młodzieży handlowej ul. Wolska l. 14

Wykłady o podatkach

z pouczeniem wypełnienia fasyj, deklaracyj itp. Wstęp wolny.

Założona w r. 1884.

Pierwsza krajowa fabryka wyrobów koszykarskich

A. KONIEWICZA

Lwów, ul. Batorego L. 12.



Zaszczytnie odznaczona na wszystkich wystawach krajowych.

Wielkie magazyny, sprzedaż hurtowna i drobiazgowa.

CENY TANIE

Na składzie zabawki wyrobu krajowego, meble bambusowe, wózki dziecinne i t. p.

+ Dla Pań! +

HYGIENICZNA OBRONA!

Bez gumy! Najlepszy środek w tej dziedzinie, zalecany od szeregu lat przez najznakomitszych lekarzy chorób kobiecych. Dziesiątki tysięcy podziękowań! Za nadesłaniem 2 kor 60 hal. w markach pocztowych przesyłamy tuzin na próbę. **Katalogi bezpłatnie.**

H. UNGER, chemiczna labolatoryum

Berlin, N. W. Friedrichstrasse 91/92.

OZDOBA DLA KAŻDEGO POKOJU!



Z powodu zwinięcia fabryki udało mi się tanio zakupić 8.000 dywanów ściennych i 11.000 dywaników przed łóżka tak, iż jestem w stanie wspaniały

dywan ścienny z szenilli

obustronnie jednakowy w pięknych prawdziw. barwach 100 cm. szeroki, a 200 cm. długi o cudownych deseniach: Lwy, psy, rodziny r. nie, łabędź, paw, jeleń, Persowie, kwiaty etc. za zaliczką posłać — **po złr. 2·50** — Szczególnie polecenia godny do wilgotnych pokoi, ponieważ dywan jest tak gruby, że się wilgoć nieprzedostaje.

Piękne dywaniki przed łóżka tylko 80 ct. sztuka

PIERWSZY MORAWSKI EKSPORTOWY DOM TOWAROWY

JULIUS HOITASCH, Göding Nr. 120 (Morawa).

Tysiące podziękowań i dalszych zamówień znajduje się u mnie! — — — Nieodpowiednie towary zostaną bez trudności przyjęte z powrotem a pieniądze zwrócone.

Do Pana Hoitascha w Göding: Księżna Aleksandra von Croy jest bardzo zadowolona z zakupionych u Pana ściennych dywanów; proszę o przysłanie odwrotną pocztą jeszcze dwa dywany do okien, tak jak w katalogu Nr. 92 po złr. 2·80. Z poważaniem **Franciszka Löschner**, ochmistrzyni.

Tylko krótki czas! • Za tę cenę jeszcze nie było.

Jan Lasociński

Lwów, ul. Sienkiewicza 2

poleca

SALON KRAWIECKI I SKŁAD SUKNA

francuskich i angielskich fabryk.

Wszelkie zamówienia uskutecznia podług najnowszych fasonów i wymagań — po cenach najprzystępniejszych.

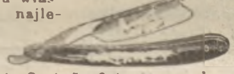


POLECA

BROWNINGI
REWOLWERY
--MAUSERY--
--PATRONY--

Brzytwy

wyrobu własnego, najlepszej jakości



w cenie 3, 4, 5 i 6 kor — poleca

A. Rattinger

nożownik, Lwów, ul. Halicka 15.



Proszę żądać darmo i opłatnie

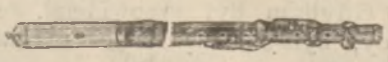
mój bogato ilustrowany polski cennik zegarków, towarów złotych i srebrnych. (przeszło 100 ilustracyi).

Hanns Konrad

PIERWSZA FABRYKA ZEGARKÓW

w Brüx Nr. 1379 (Czechy).

Prawdziwy srebrny Remontoir-zegarek złr. 3·80. Podwójnie kryty złr. 5·75. — Niema ryzyka! Wymiana dozwolona albo zwrot pieniędzy.


Bezwarunkowo najtańsze źródło zakupna **instrumentów muzycznych** i najnowszych **Płyt do Gramofonów** na dwie strony do grania. — Co tygodnia świeży transport strun.

J. Bodenstein, Lwów, ul. Karola Ludwika 37

Ubiory męskie -- i dla chłopców

w wielkim wyborze poleca

S. W. Schleifer, Lwów

ul. Sykstuska l. 3.

Bajecznie tanio!!

Siedem lat pracowałem jako mechanik u firmy Józefa Iwanickiego. Obecnie otworzyłem

SKŁAD

Maszyn do szycia i Warsztat reperacyjny.

Sprowadzam maszyny z pierwszorzędnych fabryk europejsk. sławy

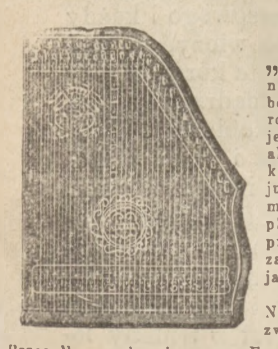
wszelkich systemów,

do szycia i haftu. — Ajentów nie trzymam. — Naprawę maszyn uskuteczniam w 48-miu godzinach z roczną gwarancyą.

Leonard Wanke

Mechanik specyalista, we Lwowie ul. Dominikańska 2.

Proszę żądać moich cenników.



Cytra gitarowa „KOLUMBIA“. Bez nauki każdy może natychmiast grać, sprowadza swobodny nastrój i wesoły umysł w każdej rodzinie. Cytra gitarowa »Kolumbia« jest wielka, posiada 41 strun, 5 grup akordeonowych; podłożywszy nuty, każdy może grać. Więcej niż 100.000 już w użyciu. Tylko wprost przez moją firmę do nabycia. Ceny: kompletna wraz ze szkołą i wszelkimi przyborami K 11·—. Nuty po 20 hal. za sztukę. Cytry akordowe każdej jakości, sztuka K 3·—, 4·50, 6·—, 7·—, 8·— i wyżej.

Niema ryzyka, gdyż wymiana jest dozwolona, lub pieniądze zostają zwrócone

Przesyłka za pobraniem przez Erzgebirgsches Musikwarenversandhaus

Hanns Konrad w Brüx, Nr. 1493 (Czechy).

Wielki illustrowany polski katalog z przeszło 1000 odbitkami na żądanie każdemu darmo i opłatnie.

Ludwika Stasiaka

TRZECIE HUMORESKI

We wszystkich Księgarniach.

Chętnie rekomendujemy

wszystkim, mającym oszczędność na względzie — znany

największy magazyn Obuwia

w Krakowie, Rynek główny l. 14 (dawniej Eile)

gdzie najlepsze i najtrwalsze kalosze i śniegowce oryg. **Petersburskie, Amerykańskie** i innych fabrykatów po bardzo niskich i **stałych** cenach dostać można.

Największy wybór obuwia męskiego, damskiego i dziecinnego.

Alfred Fränkel i Spół. kom.

zastępca L. STEIGLER

MAGAZYN I PRACOWNIA FUTER

Felika i Juliana Lubelskich

WE LWOWIE, UL. WAŁOWA 3

Polecamy na sezon zimowy nasz bogato zaopatrzony zapas **Futer** w skurach jakoteż gotowe Futra damskie i męskie, Saka, Peleryny, Paletociki, Żakiety astrahan., Kołnierzy, Boa, Zarękawki, Czapki, Kurtki myśliwskie i Futra do podróży.

Materye na wierzchy w kolosalnym wyborze!

Wykonanie trwałe i staranne.

— Ceny nadzwyczaj niskie. —

Bogato illustrowane cenniki wysyłamy odwrotnie.

Magazyn materyj na meble, Portier, Firanek do okien, Dywanów, Chodników i Dekoracyj pokojowych, Kapy na łóżka,

W. PRIMUS & S. IGLICKI

Lwów, ul. Jagiellońska l. 12.

Kraków, ul. Sławkowska l. 10, (naprzeciw Grand-Hotelu)

Serwety na stoły, Meble do salonów, sypialni, jadalni, oraz męzkich pokoi, Tapety. — Własna pracownia tapicerska.

Modne grzebyki i szpilki franc. i ang. modele

Wody toaletowe, mydła, polisoary poleca **St. Wiskida, Kraków,** salon fryzyerski **(Hotel Saski)**

Szampoing Petrole do mycia włosów i aparat do suszenia włosów Pań w osobnym pokoju. Patentowane podkłady. do fryzur. — Hygieniczny salon dla Panów. Rendez-vous dla obcych.